

29

x



NAKŁĘ • KSIĘG • ŚW • WOJCIECHA W POZNANIU





↑ 11 111

Lygmusia
Kaweckiego

WŚRÓD SWOICH

105-2/2

TEJŻE AUTORKI WYSZŁY NASTĘPUJĄCE KSIĄŻKI:

NASI PRZYJACIELE, WYD. 3. — LAS, WYD. 4.
— OPOWIADANIE PRAWDZIWE, WYD. 3. —
I JA JUŻ CZYTAM, WYD. 5. — W OGRÓDKU
NACI, WYD. 3. — NACIA NA PENSJI, WYD. 3. —
WRÓBLE. — PIES, WYD. 2. — DLA JÓZI, WYD. 2.
— W ZAKŁĘTEM KRÓLESTWIE (i GĘBARSKI),
WYD. 2. — CO SIĘ Z CZEGO ROBI, WYD. 4. —
JAK ZAJĄĆ DZIECI W WIEKU PRZEDSZKOL-
NYM, WYD. 2. — WYCHOWANIE PRZEDSZKOL-
NE (i STRZEMESKA), WYD. 2. — W ZIMIE.
WYD. 2. — NIEPROSZENI GOŚCIE. — GIMNA-
STYKA DLA MAŁYCH DZIECI. — GRY TOWARZY-
SKIE DLA DZIECI I MŁODZIEŻY, WYD. 2. — CO
SŁONKO WIDZIAŁO, WYD. 3. — W ICH ŚWIECIE.

11

MARJA WERYHO

WŚRÓD SWOICH

POWIĄSTKI DLA MAŁYCH DZIECI

Z 28-MA WINIETAMI WEWNĘTRZNYMI MARJI HABLIŃSKIEJ
I WINIETĄ OKŁADKOWĄ MARJANA ZIÓLKOWSKIEGO

WYDANIE TRZECIE



NAKLAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ - WARSZAWA - WILNO - LUBLIN

[1924]

Cim.
BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA
1.981.303

(A)

33.76

CZCIONKAMI DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA

2018K215/2



Bardzo zmartwione są wiewióreczki: liście opadły i nie zasłaniają ich od deszczu; silny wiatr podnosi im włos i ziębi straszliwie. Dnia nie można się doczekać, takie długie noce. Zmarzniętymi łapkami trzeba włos gładzić.

Niechętnie już nawet goniły się po lesie, bardzo były zgnębione.

— Codzień jest gorzej — mówiła jedna — a co będzie dalej? I dlaczego słońce się rozgniewało? Tak mało świeci teraz, a prawie wcale nie grzeje.

Przypomniały sobie, jak to było dawniej, gdy pszczoły i osy latały, gdy kwiatki kwitły i jabłka dojrzewały, ale one były bardzo małe.

Razu jednego przyszedł wicher, postrącał ostatnie liście z drzewa i zaczął niemi małe wiewiórki zasypywać. Wtedy postanowiły poszukać rodziców i poradzić się, co mają począć w tem nieszczęściu.

Matka siedziała na dużej gałęzi i rozglądała się za dziećmi.

— Chodźcie, chodźcie, maleństwa, właśnie szukam was wszędzie.

Wkrótce zaprowadziła je do dziupli w starym dębie. Potem zatkała dziurę mchem, żeby wiatr nie wchodził.

Małe wiewiórki przytuliły się do matki.

— Nie martwcie się, maleństwa, nie zawsze będą brzydkie dnie na świecie: przyjdzie zima, ziemia piękne białe szaty przywdzieje, słońko zaświeci, wtedy znowu będziecie mogły po lesie skakać i figlować.

A teraz jedzcie orzeszki, które uzbierałam dla was, to się posilicie.

— Dobrze to mieć mamusię — pomyślały wiewiórki — przy niej i cieplej, i wygodniej i przytulniej.

Teraz już cierpliwie czekały jaśniejszych dni.



KONCERT.

Na dworze deszcz padał. O spacerze nie mogło być mowy.
Lesio i Stasia siedzą w domu.

Długo się naradzali, czemby się zająć? Postanowili nareszcie urządzić koncert dla lalek.

Poznosili meble lalek, pudełka, klocki, poustawiali w kilka rzędów i poposadzali lalki — miała to być publiczność.

Potem powycinali z papieru mnóstwo małych laleczek — to były dzieci lalek, które siedziały na słupkach drewnianych.

Przed publicznością stanął stołeczek — miała to być estrada — na którym ukazywali się artyści.

Dzwonek.

Wychodzi Stasia i zaczyna śpiewać:

Żegna ptaszek las i gaj,
Bo w daleki leci kraj!
Gdzie jaśniejsze słońko łśni,
Gdzie cieplejsze dni...

Śpiewała jeszcze długo, potem ukłoniła się publiczności i wyszła.

Teraz wystąpił Lesio i grał na trąbce.

— Brawo, brawo! — wołała siostra, stojąc przy lalkach — bis, bis! — i klaskała w ręce.

Lesio wychodził, kłaniał się i znowu grał.

A gdy skończył, Stasia zaczęła deklamować „Powrót taty”. Teraz Lesio bił brawo tak długo, że dziewczynka musiała drugi wiersz o „Tadeuszkę” wypowiedzieć.

Znowu rozległ się dzwonek, to miało znaczyć, że koncert skończony.

Publiczność ubiera się i idzie do domu. Lesio i Stasia pomagają lalkom wkładać okrycie.

Ale cóż się to stało? Kilka lalek na ziemi leży!

— A mój Boże! — woła Stasia — dzieci posnęły i z krzesel pospadały. Prawdziwe utrapienie z takimi małymi dziećmi! I poco to przychodzić na koncert! Zamiast słuchać, śpią na podłodze!

I zakłopotana Stasia podnosi lalki.

— Wiesz, Lesiu, na drugi raz nie będziemy wpuszczali małych dzieci na koncert.

— Jestem tego samego zdania, że koncerty są tylko dla dorosłych — potwierdził Lesio i zaczął sprzątać salę niby woźny.





ZNICZEK

Zima. W lesie było cicho i pusto.

Po gałęziach uwijał się zniczek. Cienki swój dziobek wsuwał w szpary pnia i skrzętnie wyjadał jajka owadów. Apetyt miał dobry, więc jadł prędko i coraz wyżej po drzewie się posuwał.

Wtem podnosi głowę, patrzy, a nad nim siedzi sowa.

Przeląkł się narazie.

— Cóż tak patrzysz? — pyta złośliwie sowa. — Nigdy ptaka nie widziałeś?

— Owszem — powiada zniczek zaskoczony — ale... ale... przeląknęłam się, bo...

— Bo co? — pyta gniewnie sowa — gadajże!

— Bo pani sowa taka straszna... Nie... nie... źle powiedziałem, nie straszna, tylko, że ma takie duże oczy i taką dziwną głowę... — powiada zniczek już trochę śmielszy.

— Jak śmiesz tak do mnie mówić? Czy wiesz, kim jestem? Czy wiesz, że żaden ptak, żadne drobne zwierzę przede mną nie ujdzie?

— Być może — odpowie zniczek — ale ja się tam pani sowy niebardzo boję.

— A widzisz ty, co to jest? — I sowa podniosła swą łapę o dużych mocnych szponach. — Jednym uderzeniem na miazgę cię zgniotę!

— O, co to, to nie! Ja się nie dam tak prędko zgnieść i szponów pani się nie boję.

— Będziesz mi jeszcze urągał, ty nicponiu, ty próżniaku! — krzyczała sowa i zerwała się z miejsca.

Ale zręczny ptaszek prędko się wśliznął w dziuplę drzewa. Sowa chciała lecieć za nim, ale otwór był za mały i zaledwie dziób wsunąć mogła.

— Nie daruję ci tego — woła drapieżnik — nie wysiedzisz długo w ciemnej dziupli. Poczekam na ciebie, choćbym cały wieczór i całą noc stać miała!

Siedzi sowa i myśli, że za chwilę ukaże się zniczek, a ona weźmie go sobie na podwieczorek.

— Kiwi—kiwi! — ktoś zawołał z wierzchołka drzewa. — Już tu jestem, pani sowo, proszę próżno nie czekać!

To był zniczek.

W dziupli znalazła się druga szpara, a że ptaszek był bardzo malutki, więc z łatwością prześliznął się i zemknął przed drapieżnikiem.

Sowa aż trzęsa się z wielkiego gniewu, napuszyła się, chciała gonić zniczka, ale dzień był jeszcze i światło raziło ją w oczy.

Najbardziej ją gniewało, że taki mały ptaszek w pole ją wyprowadził.

Niezadowolona skryła się w dziupli starego pnia.



KASZTANY.

Było to w lecie. Mnóstwo dzieci zebrało się w ogrodzie. Ruch i gwar panował dokoła: jedne goniły się, drugie skakały, inne rzucały piłką — a wszystkie doskonale się bawiły.

Nieopodal od nich stanął wózek, a w nim siedziała mała dziewczynka. Miała chore nóżki i wcale chodzić nie mogła. Była blada i smutnie przyglądała się dzieciom.

Był to czas, kiedy dużo kasztanów pospadało na ziemię i dzieci zbierały je na wyścigi.

— Babciu — mówi mała dziewczynka Maryla — niechno babcia spojrzy, mam całą torebkę kasztanów. Cieszę się, że zdążyłam tyle zebrać, doskonałą zabawę urządzą sobie w domu.

I dziewczynka skakała z radości dokoła staruszki.

Wtem spojrzała na chore dziecko, które z żalem patrzyło to na nią, to na kasztany.

Marylci żal jej się zrobiło. Podbiegła do chorej.

— Malutka, chcesz? dam ci moje kasztany.

— Dobrze — odpowiedziała słabym głosem dziewczynka.

— No, to weź wszystkie.

I Marylcia wysypała do wózka kasztany ze swej torebki.

Chora widocznie była z tego zadowolona, zaczęła przebierać rączkami kasztany; twarzyczka jej się ożywiła, a nawet uśmiechnęła się parę razy.

— Cieszysz się, że masz kasztany?

— Cieszę się — odpowiedziała dziewczynka, spojrzała na Marylcię i usteczka do niej wyciągnęła. — Daj buzi — powiada, — podobasz mi się!

Marylcia pocałowała chorą dziewczynkę i rozmawiała z nią czas jakiś. Później zadowolona i wesoła wracała z babcią do domu.

A choć kasztanów nie miała, to jednak nie żałowała tego, gdyż zrobiła taką przyjemność choremu dziecku.





D L A C Z E G O Ś W I E R K Ż G I N A Ą

Nastała wiosna. Pączki na drzewach zaczęły pękać jeden po drugim. Brzozy pokryły się piękną zielonością. Nawet świerki puściły nowe gałązki i ukazało się na nich mnóstwo basiek.

Drzewa przytem zaczęły tak chciwie opijać się sokami, że kora nie mogła tego wytrzymać i w wielu miejscach popękała.

Zapach młodych liści rozchodził się daleko po lesie i wabił do siebie roje owadów.

Między innymi wkrótce zjawily się bardzo licznie korniki.

Były to małe, kasztanowate żuczki, które podążyły wprost ku świerkowi.

Natychmiast rozbiegły się w różne strony i każdy kornik zajął jedną szparę w pniu świerka. A takich szparek było tysiące.

Korniki miały szczęki mocne, więc zaczęły wygryzać pod korą chodnik.

Po obu stronach owego chodnika złożyły w równych odstępach kilkadziesiąt jajeczek i poszły sobie.

Co się z kornikami dalej działo, niewiadomo, podobno powymierały prawie wszystkie.

Jajeczka tymczasem przez kilka dni leżały i pęczniały, aż pewnego dnia pękły. Z nich wylęgły się liszki małe, gołe i bez nóg. Poruszały się to w jedną stronę, to w drugą; było im niewygodnie i zimno i głodno, więc zaczęły wydrążyć korytarz. Za pierwszą liszką poszły inne. Każda wyjadała boczny chodnik i posuwała się coraz głębiej do środka pnia drzewnego.

— Teraz nam wygodnie — myślą liszki — mamy swoje własne mieszkanie, ciepło, miękko i bezpiecznie.

Tak trwało kilka tygodni, aż razu jednego ogarnął liszkę sen, ale taki mocny, że trwał przez kilka tygodni. Gdy się wreszcie obudziła, była już żukiem. Ciasno mu było w wąskim korytarzu, więc prędko przegryzł korę i szczęśliwy, wesoły wy dostał się nazewnątrz.

Gorzej było ze świerkiem. Korniki wygryzły mu dużo miazgi ze środka pnia. Drzewo powoli schło i igły jedne za drugimi zaczęły odpadać. A gdy przyszła znowu wiosna, gdy inne drzewa znowu w piękne szaty stroić się zaczęły, biedny świerk stał sztywny, uschnięty. Już nie żył.



HISTORJA ŻOŁNIERZA.

Mam honor ci się zaprezentować, czytelniku. Jestem stary żołnierz ołowiany.

Co, nie wierzysz może?

I słusznie, bo jestem dziś do siebie zupełnie niepodobny: bez nóg siedzę, przykucnąwszy do ziemi. Może sądzisz, że na wojnie straciłem nogi? Może myślisz, że stojąc na warcie odmroziłem je? Gdzie tam! Zawdzięczam to moje nieszczęście nieporządnemu Jurkowi. Czy to ja tak wyglądałem?

Ale muszę ci najpierw wytłumaczyć, jakim sposobem tu się znalazłem.

Było to bardzo dawno, gdy razu jednego robotnik wziął łyżkę ołowiu, rozgrzał go na rozżarzonych węglach i wylał do formy.

Po chwili ołów ostygł i stwardniał, a wtedy robotnik otworzył formę, i wyskoczył z niej młody, świecący żołnierz. To byłem ja, we własnej osobie.

Następnie wymalowano mi ubranie, buty, kask i zostałem eleganckim huzarem. Nie byłem sam — było nas dwunastu, wszyscy pełni sił i zapału. Chcieliśmy iść zaraz na wojnę, ale jakaś duża ręka zabrała nas i poukładała w drewniane pudelko.

Potem zaniesiono nas do sklepu. Niedługo jednak tam leżeliśmy. Nazajutrz przyszła jakaś staruszka i zaniósła nas wnu-

kowi w podarunku na gwiazdkę. Wnuczek ten, był to siedmioletni chłopiec i nazywał się Jurek.

Nie mogę narzekać, dobry był chłopiec, wesoły, zabawny, ustawiał nas w szeregi, uczył maszerować, woził nas — wszystko byłoby jak najlepiej, gdyby... ach, gdyby Jurek był trochę porządniejszy! Ileż to wypadków było z tego powodu!

Razu jednego porozstawiał nas na podłodze i sam wyszedł. Przez pokój przechodził służący, nie zauważył nas, nastąpił nogą na jednego żołnierza. Naturalnie, że rozgniół go na miazgę. Wczoraj Jurek wymyślił nową zabawę: poustawiał nas wszystkich przed kominkiem, na którym jasno palił się ogień; był to niby pożar miasta, a myśmy mieli zastępować strażaków.

Wtem zawołano Jurka na herbatę. Chłopczyk prędko zebrał żołnierzy do pudełka, ale nie przerachował nas i mnie zostawił.

Stoję więc przy tym ogniu, gorąco mi strasznie, czekam, czy kto nie przyjdzie mnie odsunąć — nikt się nie zjawia. Wtem czuję, że nogi uginają się pode mną... bęc! i przykucnąłem na podstawę.

Teraz wyglądam jak kaleka.

Wiem dobrze, że gdy mnie Jurek zobaczy, zmartwi się bardzo, ale trudno! Będzie mnie musiał zawieźć do szpitala, bo przecież w służbie już zostać nie mogę!





SPRZĘCZKA

W dużym pokoju dzieciennym bawiło się dwoje dzieci: Antolek i Zosia.

Chłopczyk ładował wóz, a dziewczynka rzucała piłką.

— Nie ruszaj tych klocków, to moje! — woła Zosia. — I mebli nie zabieraj, to też moje.

Zagląda do naładowanej już fury:

— A, toś ty wszystkie moje rzeczy zabrał, oddaj zaraz, oddaj!

— Oddam ci — mówi Antolek — ale później.

— Wcale nie później, tylko teraz! — woła dziewczynka i zaczyna wybierać zabawki z wozu.

— Jeżeliś taka, to mi oddaj moją piłkę — powiada chłopiec i zaczął odbierać zabawkę.

Pogniewały się dzieci, każde zabrało swoje rzeczy i odeszło.

Zosia poustawiała wszystkie zabawki, a teraz sama nie wie, co ma z niemi robić.

Antolek trzyma piłkę w ręku i jakoś nie ma ochoty rzucać.

Zaczęło im się nudzić obojgu.

Wkońcu dziewczynka zbliżyła się do brata.

— Pogódźmy się, Antolku, bawmy się razem.

Chłopaczek też już nie miał żalu do siostry, więc nastąpiła zgoda.

Antolek znowu wziął wóz i razem z Zosią układali różne rzeczy: bawili się w przeprowadzkę.

I było teraz dzieciom dobrze i wesoło.



NA DNIE RZEKI.

Dno rzeki było bardzo kamieniste, gdzie niegdzie tylko przeglądał czysty, żółty piasek.

Pośrodku leżały dwa wielkie kamienie, a pod nimi siedziało mnóstwo młodych raków. Były małe, niedołążne jeszcze i dlatego nie oddalały się od matki. Gdy ta wypływała z ukrycia, małe raki zaraz siadały na jej grzbiecie i wraz z nią używały przechadzki po rzece.

Zdarzało się niekiedy, że spotkały dużą rybę lub pijawkę, wtedy brały ją za potwora i ze strachu czem prędzej czepiały się ogona matki, która nim przykrywała dzieci.

Pływały raki nieraz bardzo długo, nim znalazły cośkolwiek do jedzenia. Nie były jednak wybredne: najczęściej jadały padlinę, a tego nikt im nie skąpił.

Razu jednego po dobrym obiedzie młode raki poczuły, że im za ciasno w dotychczasowym ubraniu, zaczęły się kręcić niespokojnie, aż im pancerz popękał na głowie, na nogach, ogonie, a po chwili wydostały się z niego zupełnie.

Z początku było im niewygodnie.

Jak się tu ruszyć z miejsca, gdy żadnej obrony nie mają, a od nieprzyjaciół w wodzie aż się roi.

Siedziały więc nieruchomie i martwiły się.

Ale po kilku dniach skóra stwardniała, przytem spostrzegły raki, że teraz znacznie jest większa, luźniejsza. Nie mogą się nawet zmieścić na grzbiecie matki i muszą już teraz pływać same.

— Gdybym już był taki duży, jak matka — myślał młody rak — toż to byłbym szczęśliwy! Mógłbym pływać wszędzie, nikogobym się nie bał. Każdego napastnika zarazbym silnymi kleszczami ścisnął. O, gdyby to jak najprędzej nastąpiło!

Minęło trzy lata. Dużo zmian zaszło w rzece, a i raki nasze zmieniły się, gdyż bardzo urosły.

Jeden młody rak był dumny z siebie. Marzenia jego się ziściły, mógł już doskonale pływać i przodem i tyłem, umiał używać kleszczy, gdy trzeba było się bronić, był śmiały i silny. Zachował jednak dawne zwyczaje raków i wypływał z kryjówki tylko w nocy.

Pewnego wieczoru, pływając tu i owdzie, spostrzegł ogień na brzegu.

— Co to być może? — pomyślał i bez zastanowienia zbliżył się do ognia, był bowiem pewien, że sobie z każdym nieprzyjacielem poradzi.

Wtem cap! ktoś go chwyta za kark.

Rak broni się, ale kleszczami napastnika dosięgnąć nie może.

Wkrótce znalazł się w worku, gdzie leżało już wielu jego towarzyszy.

Potem zaniesiono je wszystkie na targ i sprzedano.

Smutno rak zakończył życie, nie dowiedziawszy się nawet, kto był tym groźnym jego przeciwnikiem, z którym sobie nie mógł poradzić.





Wacio ma dużo zabawek: wóz drabiniasty, lejce, pudełko z klockami, rybki pływające, pajaca. A przytem od dziadka dostał konia na biegunach i dużą piłkę.

Wszystkie zabawki poustawiane są w szafce, ale Wacio z niej może wydostawać, co zechce.

Dziś przyszła mu ochota na piłkę.

Rzuca ją dogóry i chce złapać, ale piłka nie daje się pochwycić i ciągle na ziemię spada. Wacio jeszcze raz ją podrzuca i powtarza się to samo.

Zaczyna więc piłkę o ziemię rzucać. Piłka skacze wysoko, ale do rąk Wacia trafić nie chce.

Rozgniewał się chłopiec, ciska nią o ziemię coraz mocniej, a piłka coraz to wyżej odskakuje.

— Dasz się raz złapać, ty niegodziwa, czy nie? — woła chłopiec. I po raz ostatni usiłuje chwycić, ale napróżno. Cały czerwony z gniewu Wacio bierze piłkę i stawia do kąta.

— Stój w kącie za karę — powiada.

Piłka i teraz go słuchać nie chce i wciąż ucieka, tocząc się po podłodze.

— Czekaj, ja cię nauczę sprzeciwiać się! — woła Wacio, unosząc się. gniewem coraz więcej, i kopnął piłkę z całej siły nogą.

— Pif! — krzyknęła piłka i pękła.

Przeraził się chłopiec z początku, a potem, gdy zobaczył zepsutą zabawkę, zawstydził się bardzo.

Najgorzej będzie przyznać się do tego dziadusiowi.





Nad oknem wisiała klatka: w niej siedział kanarek.

Rankiem bardzo wczesnie się budził, kąpał w zimnej wodzie, która stała tuż w miseczce, wyczyścił dziobek o deseczkę i zaczynał spożywać siemię lub bułeczkę — to było jego śniadanie.

Potem wskakiwał na pręcik i śpiewał, głośno, a długo...

Bardzo lubiono kanarka w domu. Nieraz ktoś przychodził przyjrzeć mu się zbliska. Najczęściej jednak odwiedzał go kot Maciuś. Siadał na oknie lub na krześle i wciąż mu się przyglądał.

Dziwił się nieraz ptaszek, czemu kot całymi godzinami oka z niego nie spuszcza.

— Kiwi — kiwi! — zapytywał nieraz kota.

Ale Maciuś nie rozumiał ptaszka, tylko ogonem poruszał.

Razu jednego przybiega do klatki Janek. Znał go kanarek dobrze i lubił, bo mu chłopczyk co rano klatkę czyścił i jedzenie dawał.

— Jak się masz? ptaszku. Możebyś chciał w pokoju polatać?

I otworzył drzwiczki klatki.

— Kiwi, kiwi! — zaszczębiotał wesoło kanarek i wyleciał.

O! lubił on takie wycieczki, zawsze swobodniej, nie to, co w klatce.

Fruwał ptaszek po salonie, siadał na kwiatkach, na piecu; potem przeleciał do gabinetu, potem do sypialni... Nareszcie, ażeby odpocząć, usiadł na firance. Wtem spostrzegł kota. Jakoś dziś inaczej zupełnie wygląda: oczy mu się iskrzą, grzbiet ma wygięty i widocznie zaczął się na niego.

Zrozumiał natychmiast ptaszek, co sobie Maciuś myśli, zerwał się z firanki i na lustro się schronił: kot za nim. Ptaszek na parawan i kot na parawan, on na komodę, i kot na komodę, na umywalkę wleciał — a wtem słyszy: bęc! coś chlusnęło.

To Maciuś wpadł do wiadra z wodą. Pierwszy raz w życiu zdarzył się taki przykry wypadek kotowi, tem bardziej, że on wody nie znoślił.

Wydostał się wprawdzie z wiadra, ale już odechciało mu się polowania.





NIEROZWAŻNY CHŁOPIEC

Kazio ma lat siedem. Od jesieni zaczął chodzić do szkoły. Już nauczył się trochę czytać i pisać.

Z trudnemi i długimi wyrazami jeszcze nie da sobie rady, ale krótkie przeczyta doskonale.

Lubi bardzo Kazio szkołę: tyle tam dzieci, a każde inne. Każde ma swoją ulubioną zabawę: jeden lubi przez rowy skakać — drugi zawszeby się mocował z kolegami, a Kazio najbardziej lubi kamieniami rzucać.

W domu nieraz ojciec się gniewał za taką zabawę, więc musiał się powstrzymywać, ale zato, powracając ze szkoły, pozwalał sobie ciskać na prawo i lewo i często kogoś uderzył.

— Ciekawym — powiada Kazio do siebie — czy trafię?

I rzuca kamieniem w drzewo, ale kamyk do drzewa nie doleciał, lecz uderzył w głowę małą dziewczynkę, która gęsi pasła nad rowem.

Krzyknęła biedaczka, objęła główkę rączkami, a krew z rany pociekła strumieniem.

Kazio przybiegł do dziewczynki, chustką obtarł jej krew i bardzo przeproszał.

— Nie płacz, dziewczeczko, nie płacz, ja już nie będę nigdy rzucał kamieniami. Obrazki moje wszystkie ci oddam, daruję ci czerwony ołówek, tylko nie płacz, malutka!

— Kiedy bardzo boli — mówiła pastuszka.

— Przyłóż listek, może to ci ulży — powiada Kazio i podał jej parę listków.

Wkrótce dziewczynka uspokoiła się, łaskawiej spojrzała na Kazia i powiada:

— Ty lepiej nie rzucaj kamieniami, bo to bardzo boli!

— Daję ci słowo, że nigdy nie wezmę kamienia do ręki. Nie miej do mnie żalu, nie chciałem cię skrzywdzić. Powiedz, nie będziesz się na mnie gniewała?

Pastuszka otarła rękami oczy i wymówiła cicho:

— Nie będę.

— Jak ci na imię? — pyta chłopiec.

— Jagusia.

— Bywaj więc zdrowa, Jagusiu, jutro się zobaczymy, a przekonasz się, że kamieni więcej rzucać nie będę.

I dotrzymał słowa. Zarzucił zupełnie zabawę z kamieniami. O gęsiarce zawsze pamiętał i często obrazki jej zanosił.



W POGONI ZA PAJĄKIEM.

Na drzewie siedziała mała żabka zielona. Ukryta pod liściem, była zupełnie niewidoczna dla innych, ale zato sama umiała dojrzeć wszystko, co się wokoło niej działo.

Upał był tego dnia potężny, suche powietrze dokuczalo żabie, więc postanowiła zejść nadół i wykapać się w stawie.

Tak też uczyniła.

Zaledwie stanęła na brzegu i rozejrzała się, gdy nagle spostrzeża dużego pająka. Pomiedzy pniem drzewa a krzakami usnuł sobie sieć i wygrzewa się teraz na słońcu.

— Pyszny kąsek — myśli żabka — jakby tu go porwać, żeby nie spłoszyć?

— Dzieńdobry, kumo — powiada druga żabka, zbliżając się. — O czym się tak zamysliłaś?

— Cicho! — powiada pierwsza. — Myślę, w jaki sposób dostać się do pająka?

— Nic łatwiejszego. Zrób dwa, trzy kroki i będziesz przy nim, a potem językiem mlaśnij go i będzie twoim.

— Mądraś! Wiedziała, co powiedziała! Tu chodzi o to, żeby pająk nie usłyszał, ani też widział, że ktoś go chce porwać.

Wymyśl co innego.

— To ty sobie myśl, a ja pójdę i sprzątnę go zaraz.

— Nie pójdziesz — mówi żaba stanowczo.

— Pójdę — odpowiada druga.

— Nie weźmiesz go, bo ja oddawna pilnuję; do mnie on należy!

— Otóż wezmę, przekonasz się.

— Nie weźmiesz, ty przybłędo! — krzyknęła żaba na cały głos.

Nareszcie po długim sprzecznaniu się zdecydowały się pójść razem, a pająk ma należeć do tej, która prędzej stanie u celu.

Skaczą teraz na wyścigi. Nie patrzą przed siebie, byle jak największy skok zrobić.

Przybyły wreszcie na miejsce i prawie jednocześnie podnoszą głowę. Co za rozczarowanie! Na pajęczynie ani śladu pająka. On już oddawna uciekł w bezpieczne miejsce.

A zawstydzone żaby musiały wracać na drzewo i szukać innego pożywienia.





SIWUSZNA KARA

Bobuś ma dopiero dwa lata.

Jest zdrow i silny, silniejszy nawet od swojej siostrzyczki Hanusi, która ma trzy lata.

Nie jest nawet złym chłopcem, ale często dokucza przez swawolę.

Przyjdzie mu naprzykład coś do głowy i zacznie rozrzucać wszystkie zabawki na ziemię.

— Nie wolno tak robić — mówi Hanusia — popsujesz zabawki, stłuczesz mi lalkę.

— Wolno — odpowiadał Bobuś i dalej rzucał.

Wtedy dziewczynka zatrzymywała zabawki i nie chciała mu dawać.

— Puszczaj — woła chłopiec — bo cię uderzę!

I uderzył siostrzyczkę!

Minęło kilka dni po tym wypadku.

Razu jednego służąca przyniosła Bobusiowi małe kocię. Ucieszył się chłopiec bardzo i ofiarował mu nawet jedną wiśienkę. Ale kot wiśni nie zjadł, tylko łapką potoczył po ziemi i skakał na nią, udając, że łapie wiśnię. Bobusiowi bardzo to się podobało, biegał za kotem i śmiał się.

Wkońcu zmęczył się kotek i usiadł wypocząć.

— Jeszcze — woła Bobuś — jeszcze! i toczy sam wisienkę po ziemi, żeby zachęcić kocię do zabawy.

Ale kotek nie ruszał się z miejsca.

— Nie chcesz? — pyta Bobuś — no to masz za to!

I uderzył kota. A kotek wyciągnął pazury i udrapał chłopca.

Bobuś zaczął krzyczeć i płakać, bo go zabolalo, lecz wszyscy mówili, że słusznie został ukarany.



W STAWIE.

W ogrodzie jest duży staw obrośnięty dokoła trzcina. W stawie mnóstwo ryb pływa: duże przebywają w głębi wody, a małe rybki na samym brzegu. Tu woda jest cieplejsza i piasek jest ładniejszy. Najwięcej jednak w owym stawie było karpie, a takie to śmiałe i zuchwałe, że myślały, iż cały staw do nich należeć powinien.

Żyły ze sobą zgodnie, zjadały delikatną trawę, która rosła na dnie stawu, korzonki lub listki i bardzo im ten pokarm smakował.

To też dziwiły się okoniom, że tak chciwe są na małe rybki, iż czasem nawet własne dzieci pożerają.

Dowiedział się rybak, że w stawie dużo karpie się namnożyło, więc postanowił je wyłowić. Wziął duże sieci i zanurzył w wodzie.

Gdy to karpie spostrzegły, prędko na samo dno wszystkie spłynęły i w muł się zagrzebały.

Wyciąga rybak sieci, patrzy: okonie, płotki, a karpia ani jednego.

Niezadowolony rybak zarzucił znowu sieci. Ciągnie je teraz po samem dnie stawu: a mądre karpie innego chwyciły się sposobu: zaczęły przeskakiwać przez wierzch.

Wyciąga rybak znowu sieć i widzi tylko jednego małego karpia.

Chłop w głowę się drapie i na karpie wymyśla.

— Ech, niegodziwe ryby — powiada — będę musiał staw spuszczać, niema innej rady.

Tak też i uczynił.

Robota to nielada: trzeba było przekopać rowy i całą wodę ze stawu spuścić.

Dwa dni woda ściekała, na trzeci ukazało się dno stawu, a na niem uwijało się mnóstwo różnych ryb.

Nałapał nareszcie rybak karpia, ale niedużo. I zachodzi w głowę, gdzie się pochowały karpie.

A zmyślne ryby zagrzebały się tak głęboko w muł, że ich nic widać nie było.

Sutą kolację dziś mieli rybacy, a każdy chwalił, że smaczniejszej ryby nad karpie, chyba niema w kraju całym, tylko, że złapać jest trudno.

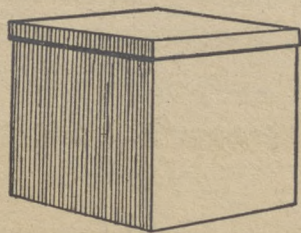
Niedługo znowu wody napuszczono do stawu, ryby wyszły z ukrycia i znowu swobodnie pływały.

Na wiosnę złożyły w trzcinie ikrę, z której wylęgło się mnóstwo małych rybek.

Zaroilo się w stawie od karpia.

Teraz już najmocniej były przekonane, że staw jest ich własnym królestwem i nikt im tam krzywdy nie wyrządzi.





NIEZWYKŁY W P O M I N E K

I.

Jania z niecierpliwością oczekiwała swoich imienin. Liczyła dnie i godziny.

— Nareszcie, nareszcie przychodzisz, mój dniu oczekiwanym: jutro budzę się — jestem solenizantką. Wiem, że dostanę dużo podarunków, na pewno wiem, bo zawsze dostaję. Ale jakie będą w tym roku?

Z tą myślą Jania zasnęła.

Oczekiwania nie zawiodły Jany: podarunków miała mnóstwo: piękną lalkę z jasnymi lokami, serwis, maszynę do szycia, cymbalki, książki, obrazki i wiele innych rzeczy.

Jania nie posiada się z radości: dziękuje, skacze, rozwija prezenty, ogląda...

Wtem wchodzi ciocia, trzymając duże pudełko w ręku.

— Ciotucho moja droga, widzę, żeś mi też coś przyniosła.

Dziękuję, ciotucho, dziękuję!

Ciocia całuje Janię i powiada:

— Widzę, że moja dziewczeczka mnóstwo rzeczy dostała, ale i ja mam coś dla ciebie.

Jania ściska ciocię, dziękuje i bardzo ciekawa, co to być może w tak dużym pudle.

— Przynoszę ci kilka zabawek — powiada ciocia — ale oddasz je dzieciom, które nigdy prezentów nie dostają.

Jania podziękowała cioci przez grzeczność i pomyślała:

— Jakąż ja z tego mogę mieć przyjemność, że innym dzieciom to oddam?

I zaczęła przeglądać przyniesione zabawki.

— Proszę cioci, a gdzie są takie dzieci, które nigdy zabawek nie miały?

— Zaprowadzę cię do nich, jeśli sobie życzysz, bo idę właśnie w tamtą stronę.

Dziewczynka zgodziła się chętnie, ażeby zobaczyć coś tak dziwnego.

II.

Pierwszy raz Jania odbywała taki długi spacer. Szły najpierw ulicami szerokimi, potem zeszły nadół ku Wiśle, potem znowu szły małymi uliczkami i zatrzymały się przy niedużym placyku na Zjeździe. Mnóstwo dzieci biegało i bawiło się, były obdarte i brudne.

Jakiś ośmioletni może chłopczyk nosił na ręku siostrzyczkę, drugi siedział nad rynsztokiem, w którym zanurzył bosc nogi, tam znowu dziewczynka przeglądała jakieś gałganki.

— To są dzieci, Jańciu, które nigdy zabawek nie miały, poproś je, może zechcą przyjąć od ciebie.

Dziewczynka wyjęła zabawki z paczki i grzecznie proponowała dzieciom, żeby przyjęły od niej zabawki.

Z początku dzieci wstydziły się i nie chciały, ale powoli ośmieliły się i z ciekawością zaczęły oglądać podarunki. Obracały je w rękę, a twarzyczki ich coraz były weselsze. Potem zaczęły się bawić każde swoją zabawką: jedno rzucało piłkę, drugie ciągnęło wózek, ten bębnił, ten trąbił, słowem ożywiły się dzieci.

Jania patrzyła i cieszyła się, że sprawiła dzieciom tyle przyjemności. Już chciała odejść, gdy zbliżył się do niej chłopiec z lejcamy, za nim dziewczynka dygnęła, mówiąc:

— Dziękuję panience za zabawkę.

— Panienska dobra — powiada drugi chłopiec, który dostał wózek, — dziękuję panience.

Jani serce zaczęło bić mocniej z radości, zarumieniła się i było jej tak jakoś błogo. Przekonała się po raz pierwszy, że dawać jest jeszcze przyjemniej, niż brać.

A gdy wróciły do domu, objęła ciocię za szyję i powiedziała:

— Ciotucho droga, twój prezent był mi najprzyjemniejszy. A dzień dzisiejszy jest najweselszy w całym roku!





NA DRZEWIE

Mały chłopiec, imieniem Adaś, bawił się w ogrodzie.
Na drzewie siedział ogrodnik i zrywał dojrzałe jabłka do kosza.

— Jak to przyjemnie musi być siedzieć tak wysoko — pomyślał chłopiec.

— Wojciechu — powiada do ogrodnika — chciałbym wejść także na drzewo.

— O, niech Adzio tego nie robi, jeszcze spadnie.

— Jaki mi mądrała — pomyślał chłopiec — on to może się utrzymać, dlaczego ja mam spadać? Czekaaj, ja ci pokażę, co umiem.

Wkrótce ogrodnik napełnił kosz owocami, zeszedł z drzewa i zaniósł go do domu.

A chłopiec, niedługo myśląc, włązi na drabinę, potem na drzewo, usiadł na gałęzi i buja się.

— Jak tu dobrze, jaką mam wyborną huśtawkę! Wojciechu — woła dostrzegłszy ogrodnika — proszę zobaczyć, gdzie jestem!

Wtem tra-a-ach! gałąź się łamie i chłopiec spada na ziemię. Ogrodnik pobiegł czem prędzej, podniósł zemdłego Adasia i zaniósł do domu.

Spadając chłopiec rozbił sobie głowę.

Długo biedak chorował, gorączkował i co chwila tracił przytomność. Sześć tygodni musiał przeleżeć w łóżku.

A gdy raz osłabiony, leżąc na poduszkach, przypomniał sobie, co zaszło, odwrócił się do matki i powiedział:

— Mamo, wiem już, dlaczego dzieci nie powinny wlaźć na drzewa.



KŁOPOTY STEFKA.

Stefek miał sześć lat. Dobrze mu było na świecie. Miał dobrych rodziców, wesołe rodzeństwo, z którem bawił się chętnie, duży pokój dziecinny — słowem nic mu nie brakowało.

Jedno tylko znał zmartwienie — nie miał szczęścia do zabawek. Wszystko, co brał do rąk — psuło mu się natychmiast. Dużą piłkę raz tylko ukłuł szpilką i już nie chciała skakać. Odkręcił śrubkę w pociągu — i lokomotywa chodzić przestała. Miał kogucika ołowianego, który ślicznie piał: kukuryku! Raz tylko obrócił mu szyję w inną stronę i kogut nie odezwał się już ani razu.

Martwił się chłopczyk, bo dużo szkody tym sposobem wyrządził, ale rady na to nie znalazł.

Co gorsza, że nietylko do swoich zabawek nie miał szczęścia, ale to samo było z cudzemi.

Chciał zrobić raz jednego siostrze niespodziankę i umyć jej lalkę woskową.

— Jańcia nie spodziewa się, co ją czeka — powiada Stefek do siebie — lalka już jest bardzo brudna, umyję ją i posadzę na zwykłym miejscu. Jak wróci Jańcia, to dopiero się zdziwi!

Spyta: kto moją lalusię umył? Ale ja się nie przyznam. Niech to będzie niespodzianka i tajemnica dla mojej kochanej siostrzyczki.

Biegnie więc chłopiec do kuchni, służącej nie znalazł, więc sam nalewa gorącej wody w miseczkę i zanurza w nią głowę lalki.

— Umyłaś się, moja mała? — pyta Stefek lalki. — Teraz obetrę cię. Ach, cóż się stało? Mój Boże! — woła chłopiec przeżony.

Lalka rzeczywiście zmieniła się do niepoznania: воск na twarzy rozpuścił się w gorącej wodzie, w okropny sposób zacierając jej rysy.

Przyszła Jańcia. Stefek z płaczem zaczął przeproszać siostrzyczkę.

— Moja droga, moja serdeczna, przebacz mi, ja zrobiłem ci krzywdę niechcący; ty wiesz, że nie mam szczęścia do zabawek, ale teraz wymyśliłem na siebie karę: nie dotknę nigdy żadnej zabawki!

Jańcia przebaczyła i bawiła się zeszpeconą lalką. A Stefek dotrzymuje słowa, nie rusza wcale kupnych zabawek, tylko sam sobie sporządza zabawki z tektury, kart, starych pudełek; nie psują się tak prędko — widać, że do nich ma więcej szczęścia.





JAKĄ ZABAWKĘ ZROBIŁ STEFEK

Od paru dni Stefek przygotowuje sobie materiał do roboty: chce zrobić dom mieszkalny.

Uzbierał mnóstwo biletów wizytowych, potem wybrał jeden na miarę i podług niego wykrajał wszystkie inne. Otrzymał tym sposobem dziesięć czworoboków jednakowej wielkości. Potem karty pozaginał przy krótkich bokach tak, żeby środek biletu miał kształt kwadratu, ale nie zawsze mu wypadały równe brzegi, więc postanowił ułatwić sobie pracę w następujący sposób:

Kładł dwa bilety jeden na drugim nakrzyż i wystające brzegi zaginał: było to daleko lepiej, w ten sposób otrzymał formę pierwszą zupełnie dokładną.

Drugą formę zrobił w ten sposób, że dwie zgięte karty połączył razem. Teraz miał kwadrat podwójny z rowkami przy każdym boku, w któreby można było wsunąć inne karty.

To miała być podłoga domu; sufit zrobił w taki sam sposób. Teraz zabrał się do robienia ścian, co już poszło daleko łatwiej: zgiętą kartę przytwierdzał z jednej strony zgiętym końcem do podłogi, a drugim do sufitu — stąd powstał zamknięty dom, w kształcie sześciianu, ale bez dachu jeszcze.

Dach zrobił też z dwóch kart, które z jednej strony wsunął w sufit, a z drugiej połączył ze sobą.

Ale znowu dach nie chciał się trzymać, wciąż się przechylał, to na jedną, to na drugą stronę.

Długo Stefek próbował wszelkich sposobów, aż nareszcie wynalazł. Przekłuł w dachu dwie dziurki nożyczkami i włożył w nie dwie małe trąbki z papieru.

Dach trzymał się doskonale, a i kominy wyglądały dobrze.

Całe poobiedzie Stefek był zajęty, dobrze się napracował, aż mu się policzki zarumieniły. Zato dom był skończony.

Teraz pobiegł do siostry.

— Janiu, przyjdźno prędko i patrz, co zrobiłem!

Przybiegła Jania, ogląda i bardzo jej się podoba domek.

— Wiesz, Stefcu, wcale niezła chałupa, tylko szkoda, że nie ma drzwi i okien.

— Myślisz, że to jest co trudnego! Wcale nie! Chcesz, to ci zrobię domek z oknami i drzwiami.

— Dobrze, Stefanku, zrób mi parę domków, to wprowadzę do nich moje małe laleczki.

I chłopiec znowu wziął się do pracy. Porobił domy z drzwiami i oknami, dachy i ganki nawet malowane były.

A Jańcia coraz to nową obmyśla mu robotę.



URODZINY MOTYLKA.

Motyl wyprawiał urodziny.

Z zaproszeniem gości był nielada kłopot, a przedewszystkiem z rodziną.

Okazało się, że w żaden sposób nie mogli się zgodzić co do godziny, w której miało być przyjęcie.

Gdy motyle głosowały za dniem, ćmy tylko na noc się zgadzały, a zmierzchowce znowu głosowały za szarą godziną.

Po długich naradach wkońcu zgodziły się wszystkie na jedno: zebrać się zaraz po zachodzie słońca i rozejść się, gdy noc nastąpi.

I tak zrobiono.

Na liściu łopianu było przygotowane sute przyjęcie: pyłek kwiatowy, sok do picia, kilka mszyc dla Bożej krówki, muchy uśpione dla pająka i wiele innych rzeczy.

Prawie jednocześnie przybyli wszyscy goście.

— Moja kuzyneczko — zwraca się do gospodyni motyl-rusałka — co wam przyszło do głowy, zaprosić takiego brzydala, jak ów pająk? Nikogo nie zabawi, wiecznie nasępiony siedzi.

— Nie mogłam nie prosić, moja droga, jest to mój najbliższy sąsiad, a przytem bardzo jest dobry i usłużny.

— Tylko dla ciebie to zrobię — powiada rusałka — że z nim rozmawiać będę, bo inaczej zarazbym go przepędziła.

Wkrótce podano kolację.

Bawiono się doskonale. Im więcej goście jedli i pili, tem weselszego nabierali humoru.

Już dobrze się ściemniło, już i noc nadeszła, a o rozejściu nie było mowy.

Tymczasem chmury zaczęły się zbierać, już grzmiało w od- dali. Ale nikt z obecnych tego nie słyszał. Naraz lunął deszcz.

Straszny popłoch wszczął się wśród gości.

— Ach, moja nowa suknia! — wołała rusalka.

— Przykryjcie mnie, kto może! Moje piękne wstążki woda zmyje — krzyczy motyl-pawik.

— Nieszczęście — narzeka ćma — cały pyłek z wodą pójdzie, nie będę mogła przez kilka dni latać.

— Skryjmy się pod łopian — zaproponował gospodarz, motyl.

— Ach! — krzyknął ktoś przeraźliwie — olbrzymia kropla spadła mi na nos, zalewa mię, woda zalewa!

— Wilgoć już doszła do moich skrzydełek — jęczy trupia- główka — ginę, ratujcie!

Niewiadomo, jakby to się skończyło, gdyby pajak nie przy- szedł z pomocą.

Zaprosił wszystkich do swego mieszkania, które było tuż zaraz w dziupli drzewa.

— Zaraz poznać dobrze wychowanego młodzieńca i dobre- go gospodarza — powiada rusalka i pierwsza pobiegła za pajakiem.

W dziupli przeczekali burzę i nad ranem dopiero rozle- cieli się każdy w swoją stronę.





WICHER

Strasznie się rozdokazywał wicher.

Drzewa w lesie z początku pobłaźliwie na niego patrzyły, ale wkońcu, gdy przebrał miarę, zaczęły się niecierpliwić.

Świerk nasrożył się surowo, dąb twardemi swemi liśćmi odpychał; osina prosiła, żeby już dał pokój, ale wicher nie przestawał swoich wybryków.

— Widzisz — powiada do sroki — jak sobie z nikogo nic nie robię.

I pchnął brzozę tak gwałtownie, że ta o mało się nie przełamala.

Wkońcu do tego stopnia wszystkim nadokuczał, że drzewa rozgniewały się i poczęły głośno szemrać — aż wiatr się zląkł i uciekł w pole.

Po drodze dmuchnął w srokę tak, że o mało nie spadła z drzewa.

— Nie zaczepiaj mnie, stary — powiada ptak — bo będzie kwita z przyjaźni.

— Ja tylko pozartowałem, kuzyneczko, chciałem ci w locie dopomóc. Skoro nie chcesz, dam pokój.

I poleciał.

Po drodze kwiatom główki zrywał, owies przygiął aż do ziemi, siano porozrzucał, zająca wypłoszył z miedzy, dmuchnął w lśniącą kulę mlecza przekwitłego i poroznosił puszek na wszystkie strony... Potem poleciał dalej do wioski...

Na dachu spotkał znów srokę.

— Powiedz mi, przyjacielu — pyta sroka — dlaczego tyle broisz?

— Dlaczego? Dlatego, że to mi sprawia przyjemność — odpowiada wiatr.

— A czy nie uważałeś, że krzywdę wielką wyrządzasz?

— Prawdę rzekłszy, nie zastanawiałem się nad tem... Ale, zdaje mi się, że chcesz morały prawić... Ot lepiej patrz: Bartek do chałupy wraca, trzeba pójść powitać go.

Zsunął się wicher z dachu i jednym dmuchnięciem czapkę zerwał chłopcu.

Goni ją biedny Bartek, zmęczył się, zasapał, nim złapał czapkę.

A teraz wicher do kapoty jego się zabrał: podnosi poły do góry, parę guzików nawet rozpiął. Co Bartek przytrzyma sukmanę, to mu wicher znów czapkę zrywał. Morduje się chłopiec, ale ustąpić nie chce. Aż gwizdnał wicher ze złości.

— Czekałno — pomyślał — ja cię nauczę.

I nuż z przodu dmuchać zaczął, a tak mocno, że mało go nie przewraca.

— Patrzno, kumo — powiada wicher, zwracając się do sroki — teraz najciekawsza chwila nastąpi — zaraz obalę Bartka na ziemię.

Odwraca się wicher, a tu niema chłopca. Pędzi naprzód — ani śladu. Co się stało? Gdzie zgubił Bartka?

Zawstydził się bardzo wicher, szczególnie przykro mu było, że sroka naśmiewała się, patrząc na to wszystko. Więc uciekł w szczeliny gór i tam został.

Bartek ukrył się tymczasem w wąwozie i czekał, nim się wicher uspokoi, a teraz wyszedł i idzie dalej swoją drogą.



MAIK I CHRABAŚCZ.

Bz-z-z! brzęczał chrabąszcz i ciężko upadł na liść.

Tuż niedaleko siedział żuk-maik.

— Co się stało, że w dzień latasz tak niespokojnie? wszak zwykle wieczorem hałasujesz wyprawiacie.

— Mój drogi, ledwie że z życiem uszedłem: szpaki przyleciały i uganiają się za nami od rana do nocy.

— To źle, skoro nie umiesz się bronić, zginiesz na pewno.

— Uciekam też przed nim — tłumaczy się chrabąszcz.

— Che, che! — zaśmiał się maik. — Nie sztuka uciekać, zawsze cię dogonić może nieprzyjaciel, ty umiej bronić się na miejscu.

— Ciekawym, w jaki sposób? Że ty nie możesz uciekać, to się nie dziwię — powiada chrabąszcz. — Jakież ty masz skrzydła! Co za nogi!

— Prawda — przerywa maik — nie mam ani takich skrzydeł jak wy, chrabąszcze, ani nóg jak biegacze, ale mam spryt! Tak, mój drogi, a to coś znaczy. Od wczesnego dzieciństwa spryt nam dopomaga. Pamiętam, gdy byłem jeszcze larwą, siedzę sobie raz na kwiatku i sok wypijam. Wtem przylatuje pszczoła i językiem długim jak ryj wysysa cały sok z kwiatu.

Czekaj — pomyślałem sobie — nauczę cię, jak larwom resztę soku z kwiatów zabierać.

I uczepiłem się ciała pszczoły.

Niezadługo owad odleciał do ula, a ja z nim razem.

Zeskoczyłem z jej grzbietu i pobiegłem do komórek, już napełnionych miodem. Uraczyłem się co się zowie! jadłem ile się zmieści. Spotkałem się potem z siostrami, które, jak się okazało, dotarły tu tym samym sposobem, co i ja. Siedzieliśmy w ulu długo, o długo! Aż nareszcie przyszedł czas, że z larw musiałyśmy się zmienić w owady.

Wtedy hopsa! Wskoczyłyśmy znowu na grzbiet pszczoły i te nas wyniosły znowu do lasu. Albo znowu... — chciał mówić dalej maik, ale coś go przestraszyło.

Na gałęzi usiadła wilga.

Chrabąszcz w jednej chwili ukrył się, a maik najspokojniej został na liściu.

Ptaka nachylił się nad owadem, obejrzał go ze wszystkich stron i odleciał.

— Żyjesz? — pyta go pocichu chrabąszcz, wysuwając głowę z pod liścia.

— Żyję, cóżby mi się stało? — odpowiada dumnie maik.

— Myślałem, że cię dawno wilga porwała, bom widział zdaleka, jak siedziała przy tobie — powiada chrabąszcz, wydo-
stawszy się nawierzch.

Wtem spostrzeża, że maik jest cały żółty.

— Przyjacielu, co ci jest, żeś się tak zmienił?

— Che, che, che! — zaśmiał się maik — w tem właśnie sęk, że mogę z siebie gryzącą ciecz wydzielić; niechby mnie ptak wtedy przełknął, toby mu całe wnętrzności wypaliło.

— Sprytnyś! — odrzekł chrabąszcz i odleciał, niespokojnie rozglądając się dokoła.

A maik dalej spokojnie kroczył sobie po liściu.



Jerzy ma lat pięć. Zwinny, zręczny chłopiec umie sobie radzić i tylko czasami wzywa na pomoc starą nianię.

Niania od urodzenia pielęgnuje Jerzyka i bardzo jest do niego przywiązana.

Chłopiec też kocha starą opiekunkę, więc żyją w wielkiej przyjaźni.

W jednej tylko rzeczy zgodzić się nie mogą: niańka chciałaby zawsze widzieć chłopczyka czystym, a Jerzy ma wstręt do mycia, i stąd pochodzą częste sprzeczki i hałasy.

Siedzi Jerzy przy śniadaniu i pije czekoladę; wiadomo jest, że przy jedzeniu zawsze się człowiek trochę powala. Więc i Jerzyk miał nosek masłem powalany i resztki czekolady na buzi. Zobaczyła to niania i powiada:

- Chodź, robaczku, umyjemy się.
- Nie chcę, nianiu, nie będę, bo dopiero się myłem.
- Bój się Boga, chłopaczku, toć wstyd przed innymi będzie.
- Nie będę się mył, za nic na świecie nie umyję się, choć raz postawię na swoim.

Niania prosi, błaga chłopca — nic nie pomaga; takie zaczął wyprawiać grymasy, że niańka odeszła mówiąc:

— A więc zostańże sobie brudasem.

O godzinie dziewiątej zwykle przychodziło kilkoro dzieci do Jerzyka i nauczycielka, i chłopiec bardzo przyjemnie czas z nimi spędzał. Zebrały się dzieci i tym razem. Patrzą na Jerzyka i zaczynają się śmiać na cały głos:

— Ha, ha, ha! Jurku, wąsy ci urosły czekoladowe.

— Wiesz — powiada Zosia — zupełnie jesteś podobny do pajaca w cyrku. Tamten też był taki umazany.

— Proszę pani — woła Janek, biegnąc na spotkanie nauczycielki — niech pani spojrzy, jaki Jerzyk jest dziś śmieszny.

Chłopiec z początku nie zważał na żarty kolegów, lecz gdy teraz wszyscy na niego spojrzeli, nawet nauczycielka, zarumienił się po same uszy, zakręciły mu się łzy w oczach i wybiegł z pokoju, głośno płacząc. Uczuł przytem taki wstyd, że nie mógł tego dnia pokazać się na oczy ani nauczycielce, ani dzieciom, tem bardziej iż zauważył, jak się dzieci usuwały od niego, nie chcąc się zetknąć z brudasem.

Smutny to był dzień dla Jerzyka, długo o nim pamiętał.

Dziś Jerzyk już nie czeka na przypominanie niani; po każdym jedzeniu biegnie do swego pokoju i wilgotną gąbką twarz i ręce wyciera.

Od czasu do czasu koledzy żartem mu przypominają:

— A pamiętasz, Jerzy, jak to się przebrałeś za cyrkowego pajaca?



KUKUŁKA.

— Ku-ku! ku-ku! ku-ku! — woła kukułka, bujając się na gałęzi.

— Już jest ta kręcicka — szepce drozd i odwrócił się od kukułki, bo jej nie lubił.

— He, he, he! — zaśmiała się kukułka — i ty już na mnie krzywo patrzysz? Cóż ci złego zrobiłam! No, co? powiedz!

Domagając się odpowiedzi, kukułka zbliżyła się do drozda.

— Daj mi spokój, nie gadam z takimi jak ty — odpowie drozd.

— Nie odejdę, aż mi powiesz, dlaczego tak wszyscy mnie nienawidzicie? Każdy ptak radby mnie zadziobać, gdybym się tylko dała.

Rozgniewany temi pytaniami drozd odparł opryskliwie:

— Dlaczego? pytasz. Dlatego, że jesteś próżniak, darmo-
zjad, nicpoń. Któż to słyszał, żeby ptak sam sobie gniazda
nie budował? Ty jedna taka jesteś niedbała. A kto jajka pta-
kom podrzuca? Kto dzieci własnych nie chowa? Któż jeżeli
nie ty!

— Prawda, ja — odrzeczła kukułka — ale powiem ci dla-
czego, tylko zaczekaj chwilkę, muszę przedtem coś przekąsić,
bo głodna jestem.

Prędko zjadła dwie włochate liszki i tak zaczęła mówić:

— Mój drogi, może nie wiesz, że my kukułki składamy jajka rzadko, co dwa, co trzy tygodnie. Gdybym wysiedziała pisklę, musiałabym latać za pożywieniem dla niego, a tymczasem składam drugie jajko, na którym trzeba siedzieć. Więc cóżbyś na mojem miejscu zrobił? Czeka, zresztą nie odpowiadaj, bo widzę, liszka pełźnie, muszę ją sprzątnąć.

Zjadła.

— Jakie smaczne, wyborne! — powiada kukułka zadowolona. — No, a teraz odpowiedz, mój kochany, jakbyś postąpił na mojem miejscu?

— Albo karmiłbym pisklę, albo siedziałbym na jajku — odpowie drozd poważnie — a ty ani jednego, ani drugiego nie robisz.

— Masz słuszość, ale znowu myślę sobie, czy to wam nie wszystko jedno, karmiąc naprzykład czworo piskląt, wykarmić moje piąte?... Ach, co widzę! Cztery liszki na jednej gałęzi! To mi gratka!

I znowu kukułka rzuciła się na zdobycz, a jadła tak chciwie, jakby jeszcze nic dziś w dziobie nie miała.

— Fe, cóż za żarłok! — powiada drozd z oburzeniem — nie dość, że takie wstrętne włochate liszki zjada, ale co chwila musi coś w dziobie trzymać. Patrzyć się na ciebie nie mogę.

Zerwał się drozd i odleciał.

— Czeka, kumie, czeka, jeszcze ci dużo rzeczy o sobie powiem, a ty innym ptakom powtórzysz.

— Co tam będziesz plotła! Sam opowiem, że nie możesz wysiedzieć swych piskląt, boś żarłok, tylko ci jedzenie w głowie.

— Kłamiesz, kłamiesz! — wołała kukułka rozgniewana. — Ku-ku! ku-ku!

Ale drozd już jej nie słuchał.

Kukulka mocno żałowała, że się z drozdem wdała w rozmowę, teraz gotów po całym lesie roznosić plotki o jej obżarstwie.

Uwzięła się odtąd na ptaki i postanowiła spędzać je zawsze z drzewa, na którym sama siądzie.

— Niech mnie nie wyśmiewają — mówiła do siebie.





Było już ciemno i służąca wniosła lampę do dziecinnego pokoju.

Za stołem siedziało dwóch chłopców: Antoś i Michaś i przeglądali obrazki.

Przychodzi matka z koszykiem do roboty i chce zacząć szyć, ale przypomina sobie, że naparstek zostawiła w ogrodzie.

— Mój Antolku — zwraca się do starszego syna — przynieś mi naparstek, zostawiłam go na stole pod lipą.

Chłopiec natychmiast wstał do wyjścia.

— Antku, czy ty się nie boisz? — pyta młodszy brat. — Jabym nigdy sam jeden nie poszedł w taką ciemną noc, bałbym się.

— Czego? — pyta Antek.

— Nie wiem sam czego, ale się boję... księżyca, dużych cieni... Tak wszędzie ciemno i czarno... aż mrowie przechodzi... A jeżeli coś straszego się ukaże?

— Dobrze, jeśli coś straszego zobaczę, to ci powiem!

I pobiegł.

Michaś tymczasem zbliżył się do okna i patrzy: dokoła noc czarna i nic nie widać.

— Nie poszedłbym w żaden sposób — myśli chłopiec.
Niezadługo jednak usłyszał kroki Antka.

— Otóż jestem! — zawołał zadyszany, podając matce naparstek.

— Opowiedz prędzej, coś tam widział? — pyta Michaś.

— O, dużo strasznych rzeczy widziałem — mówił Antek żartobliwie. — Zaledwie stanąłem w ogrodzie, słyszę fr-r-r! coś koło mnie przeleciało. Patrzą — nietoperz.

— Przeląłeś się? — pyta braciszek.

— Gdybym był ćmą, tobym się strasznie zląkł, ale że jestem chłopcem, więc poszedłem dalej. Słyszę znowu hu! hu! huczy przeraźliwie sowa w alei. Pomyślałem sobie: szczęście, że nie jestem wróblem, boby mnie ten potwór zjadł zaraz.

Potem znowu kot przebiegł drogę — gdybym był myszą, tobym musiał zmykać.

— A ciemności nie bałeś się? — pyta Michaś.

— Gdybym był małym chłopcem, możebym się bał, ale że mam już osiem lat, więc się niczego nie boję.

Michaś zamyślił się, a potem dodał:

— Wiesz, Antku, ja też wkrótce przestanę się bać, za rok będę miał lat osiem.

Czeka teraz Michaś z niecierpliwością dnia, w którym skończy lat osiem, żeby nikogo się nie bać i zostać takim zuchem jak jego brat Antek.





RODZINA ŚWISTAKÓW

Wysoko, bardzo wysoko w górach mieszkał świstak z rodziną.

Miał on przed sobą tylko skały, pomiędzy nimi gdzieś gdzie małą łąkę, kosodrzewinę i nic więcej.

Czasem w ładny dzień słoneczny świstak stawał na tylne nogi i patrzył w dal. Wtedy widział ciemne lasy, domki górali, pastuchów, pasące się owce — patrzył i myślał:

— Jak też tam im musi być źle i ciasno! Jeden drugiemu pewno w drogę wchodzi. Nie to, co u nas! Bodaj to swoboda!

Gwizdnął świstak, dał parę susów i stanął na łące. Zaczął wybierać najlepsze ziółka z pomiędzy wszystkich traw i zjadał chciwie. Potem gwizdnął znowu, lecz tym razem tak donośnie, że aż góry odpowiedziały echem. Na ten głos przybiegły młode świstaki.

— Gdzieście były, malutkie? — pyta matka. — Czy jesteście już po śniadaniu?

— Oho, już na drugie śniadanie apetyt mamy, tyleśmy się wylatały!

— Dobrze wam na świecie? — pyta świstak.

— Oj, dobrze, tylko za często jeść się chce!

— Głupstwo! na to można poradzić...

Wtem świstak gwizdnął przeraźliwie i cała rodzina zaczęła z pośpiechem uciekać. Pod wystającą skałą miały te zwierzątka głębokie nory i tam skryły się zdyszane i zmęczone.

— Co to było? — pytają matki świstaki.

— Któż, jak nie orzeł — odpowiada. — Gdyby nie te drapieżniki i nie lisy, to mielibyśmy raj na ziemi.

Chwilę siedziały świstaki w norze i znowu wyszły, ostrożnie rozglądając się.

— A teraz do roboty, moje dzieci! Przekonałam się, że trawy w norze wcale nie przybyło, jeszcze dziś nic nie nazbierałyście, jak widzę.

— Zaraz, matuchno, pobiegniemy i nazbieramy!

Porozbiegały się dzieci na wszystkie strony i do roboty się wzięły: przecinały u samego spodu trawę i zносиły do nory. A gdy słońce zaszło, stary świstak znowu gwizdnął na dzieci i cała gromada pobiegła do domu na spoczynek. Niedługo dzieci poukładały się spać, ale matka czegoś niespokojna: nie może się doliczyć jednego dziecka. Było dwanaścioro, a jednego niema, tego właśnie, co miało na szyi jasną plamkę. Niespokojna wybiega z nory. Noc ciemna, nic nie widać. Gwizdże, napróżno! Cisza dokoła. Idzie zwolna, pod jeden i drugi kamień zagląda, niema i niema.

Smutna wraca do nory, o dziecku wciąż myśli, nadśłuchuje. Oka przez całą noc nie zmrużyła. Ale napróżno czekała — mały świstak nie wrócił.





W D O M Y

Minęło lato i jesień. Małe świstaki bardzo urosły, umiały doskonale biegać, wiedziały jak każda roślinka smakuje, jak każdy kamyk wygląda. Nauczyły się być tak czujnymi jak ich matka.

Z dniem każdym coraz więcej pracowały, a tyle naznosiły trawy do nory, że nietylko mieszkanie, ale i cały korytarz był nią wysłany. Wyszuszone trawy służyły im za siennik, z pachnących górskich ziółek zrobiony.

Tymczasem dni stawały się coraz krótsze, nasze stworzonka jakaś senność zaczęła ogarniać. Weszły więc wszystkie, poza-grzebywały się w siano, zasnęły mocnym, zimowym snem. Stary świstak zatknął wejście do nory wiązką trawy, żeby mróz w niej nie dokuczył i także się położył. Przymknął oczy i myśli, ile to już zim przespał i ile jeszcze pozostało. Wtem słyszy jakieś chrobotanie... Słucha... Tak, ktoś dobija się do wejścia.

— Pewno jakiś świstak, któremu nie chciało się przygotować sobie nory, ma zamiar w naszej przenocować. Hola, mój panie, od tego mam zęby ostre, żeby cię nie wpuścić! O, jak hałasuje!

Świstak zerwał się i pobiegł do otworu.

— Cóż to? co widzę? mój synek zgubiony!

Cóż za radość w domu! Matka pieści, tuli dziecko do siebie, ściele mu posłanie i opowiadać każe, gdzie był i co się z nim działo?

— Pamięta mama, jak to latem trawę zbierałem? Otóż napakowałem pełne usta trawy i chcę iść do nory, wtem patrzę — lis, stoi tuż przy mnie. Jak nie zacznę uciekać, jak nie popędzę w góry!...

Zapomniałem zupełnie, że mamy tylne nogi dłuższe i że z góry biegać nie możemy i naturalnie fikam ciągle koziołki. Staczając się nadół, wpadłem na pastucha, który leżał na łące. Ten hultaj bierze mnie do rąk i zamiast wypuścić, niesie do Zakopanego. Po drodze spotkaliśmy jakichś państwa, którzy zatrzymali mego pastucha, zaczęli mnie oglądać na wszystkie strony, głaskali i zabrali do domu. Tam znowu naznosili mi różnego jedzenia, ciastek, owoców, ale ja za to wszystko kąsałem każdego, kto się do mnie zbliżał. Widać, że to im się nie podobało, bo wynieśli mnie na podwórko i przywiązali sznurem do drzewa. Och, ileż ja tam wycierpiałem! jak mi tam tęskno było! jaka rozpacz mnie ogarniała! Sądziłem, że umrę, a ci ludzie, gorsi od orłów, sępów i lisów, patrzyli się i śmieli ze mnie. Pewnej nocy przypomniałem sobie, że mam dobre zęby i że mogę sznurek przegryźć — i przegryzłem. Oswobodziłem się! Bywajcie zdrowi, wy rozbójniki! krzyknąłem im na pożegnanie. Popędziłem w góry, poczem długo, długo błądziłem.

— No i co dalej? — zapytuje matka.

Ale synek odpowiedział tylko długim chrapaniem. Teraz i matka zwinęła się w kłębek, a spokojna i szczęśliwa prędko zasnęła snem mocnym i długim.



NA PRZECHADZCE.

Było dwoje dzieci: Walek i Marysia.

Chłopczyk miał lat sześć, a dziewczynka pięć.

Matka nie pozwalała dzieciom samym daleko odchodzić i dlatego najczęściej bawiły się na podwórku albo w ogrodzie.

— Maryś — mówi raz chłopiec — pójdźmy sobie dzisiaj sami na przechadzkę.

— A nie boisz się? — pyta siostra.

— Czego mam się bać? Wezmę duży kij, to obronię ciebie i siebie. Wiesz, przejdziemy przez płot, ja cię podsadzę; nie bój się, mama nic wiedzieć nie będzie.

I poszli.

— Prawda, Maryś, jak tu ładnie: tu łąka, tu woda, tu las — gdzie zechcemy pójść. Żuczek też biegnie z nami na spacer. Jak ci się zdaje, czy mama nie będzie się gniewała, że pies oddała się od domu?

— Może będzie — odpowie dziewczynka. — Żuczku, wracaj do domu!

Ale pies ogonem tylko wywija i łasi się.

— Żuczku, niedobry psie, idź sobie, nie wolno chodzić daleko, mama zabroniła. Do domu, słyszysz!

Żuczek wciąż skacze i pędzi naprzód.

— Walku — powiada dziewczynka — chodźmy do lasu, tam przyjemnie, chłodno, kwiatów tyle!

— Dobrze, kto prędzej dobiegnie! — woła chłopiec wyprzedzając siostrę.

— O nie, przepraszam, razem mieliśmy iść; podaj mi rękę i razem pobiegnijmy.

Wkrótce już dzieci były w lesie.

— Ciekawym — mówi Walek — dlaczego zawsze nie możemy sami chodzić i co się nam złego stać może?

Idą dzieci coraz dalej, coraz głębiej w las, coraz więcej widzą drzew i kwiatów, a paprocie tak duże, że do pasa im sięgają.

— Ciaf, ciaf, ciaf — zaczął szczekać pies, stojąc na miejscu.

— Co mu jest? — pyta Marysia. — Czemu Żuczek tak dziwnie szczeka? Patrzno, jak podwinął ogon.

— Maryś, tam żmija pełźnie — krzyknął chłopiec. — Ajej! to straszne zwierzę, uciekajmy, uciekajmy prędzej!

I co sił miały, biegly ku domowi. Już były daleko za lasem, ale zdawało im się wciąż, że żmija je goni.

— Mamo, mamu! — krzyczała przez łąki Marysia — zbliżając się do domu. — Mamusiu, żmija, straszna żmija!...

Wyszła matka przestraszona i zbliża się do dzieci. Sądziła, że które z nich żmija ukąsiła. Na szczęście przekonała się, że tak nie jest.

Dzieci opowiedziały swoją przygodę w lesie, a matka widząc, że żałują swego postępuku, nie gniewała się, tylko spytała:

— Wicie teraz, dlaczego nie pozwalają wam samym chodzić do lasu?

— Wiemy przecie, że gdy żmija ugryzie, człowiek może umrzeć, dlatego tak uciekaliśmy.



ZEPSVTY ORZECH

Było to w lecie. Koło parkanu w ogrodzie leszczyna tak się rozrosła, że utworzyła zieloną ścianę.

Na jednej gałęzce skrada się orzechowiec. Idzie trwożliwie, ogląda się, czy go leszczyna nie zrzuci. Ale krzak nie zważa, nie spostrzega go nawet. Innym razem możeby leszczyna rozgniewała się, możeby z gałązki go zrzuciła, ale teraz nie ma czasu: w miseczkach swych zielonych jąderka przygotowuje, trzeba korzystać z ciepła i słońca.

Orzechowiec właśnie dowiedział się, że orzechy dojrzewać zaczynają, i skierował się ku nim. Znalazł jeden i zaczął próbować.

— O — pomyślał — skorupa twarda, nie ugryzę!

Idzie dalej, próbuje drugi.

— I z tym nie poradzę! Co ja pocznę nieszczęśliwy, gdy i ten trzeci będzie taki twardy!

Zaczyna gryźć — dosyć jest twardy, ale od czegoś są silne szczęki orzechowca? Piłował długi czas i zrobił dziurkę w orzechu. Potem złożył w niego malutkie jajko i pobiegł dalej. Tak sa-

mo postąpił z orzechem, który rósł na drugiej gałęzce. Teraz włązi wyżej, ażeby wypocząć i lepiej się rozejrzeć.

— A cóż to za bogactwo! Ile tu się owoców urodziło!
— myśli orzechowiec.

I byłby psuł dalej orzechy, ale dojrzała go sikorka i porwała sobie na śniadanie.

A tymczasem jajka zostały w orzechach. Mija dzień, drugi i jeszcze kilka dni, aż tu z jajka wylęga się żółty pędrak.

Ciepło i wygodnie mu w mieszkaniu: dziurka w orzechu już dawno zarosła, ani deszcz, ani wiatr nie dochodzi do niego; pokręcił się i napotkał jąderko orzecha.

Jąderko miękkie i słodkie, smakuje młodemu, ale musi zostawić na jutro i pojutrze, więc zjada tylko odrobinę naraz.

— Minęło dwa tygodnie, i pędrak tak urósł, że się już w orzechu nie mieści. Co tu robić? Zaczyna gryźć orzech, przegryzł nawylot otwór dosyć duży i wylazł nawierzch.

— Jakże tu inaczej wszystko wygląda! — pomyślał. Miał ochotę zostać na orzechu, ale jak tu chodzić, gdy nóg niema? Chciał się obrócić, ale poślizgnął się i spadł na ziemię.

Strasznie się pędrak przeląkł z początku, myślał, że na śmierć się zabił; ale tym razem nic sobie nie zrobił złego. Nie mógł jednak uleżeć na trawie, bo kłuło go zewsząd w delikatne ciało, więc się zakopał w ziemię i zasnął.

Co się z nim działo, nic nie wiedział. Obudził się dopiero następnego lata, ale był już zupełnie inny: miał twardą skórę na sobie i aż sześć nóg, a najwięcej podobał mu się długi ryjek.

Ucieszony wielce pobiegł czem prędzej na krzak leszczynowy.

Z drugim pędraczkim było gorzej: jąderko orzecha tak mu smakowało, że się nie mógł powstrzymać i zjadł całe odrazu.

Nazajutrz i dnia następnego nie miał nic do jedzenia i musiał z głodu umrzeć.

A gdy dzieci na jesieni jadły orzechy, znalazły dwa zepsute: jeden był z dziurką i pusty w środku, drugi nawet dziurki nie miał. Wyglądał zupełnie dobrze, gdy go jednak dzieci żelaznym dziadkiem rozgniotły, znalazły zamiast jąderka, nieżywego pędraka i czarny proszek dookoła.



MAŁA ARTYSTKA.

W niskim drewnianym domku na poddaszu mieszkały dwie siostry. Starsza Kasia opiekowała się małą siostrzyczką Jagusią. Zostały one od niedawna sierotkami, bo rodziców śmierć im zabrała.

Dziewczynki musiały bardzo pracować, bo były biedne i znikąd żadnej pomocy nie miały. Kasia brała ze sklepu robotę i prawie cały dzień haftowała z siostrzyczką. Prędko szła robota w rękę Jagusi, która czasem podnosiła główkę do góry, wyglądała oknem i myślała długo... O czym? Tego nikt nie wiedział.

— Kasiu, — powiada raz do siostry — czy ci się nie znudziła ta robota? Bo mnie okropnie dokuczyła. Zawsze haftować te same kwiaty, te same liście! Dlaczego mamy szyc zawsze podług danego nam wzoru, czy to nie lepiej samej coś ułożyć? Wyszyłabym na przykład lilje, przeplatane liśćmi, a takie duże, takie piękne, jakich na świecie niema...

— Szyj, mała, co tam wygadujesz! Któraż to z nas taki deseń ułożyć potrafi? Chyba rysownik lub artysta.

— A czy to bardzo trudno zostać artystą lub rysownikiem?

— Naturalnie, moja droga. Artysta nigdy nie przerysowuje z wzorów, tylko sam z siebie wysnuwa piękne obrazy lub desenie. Ale nie rozmawiajmy, malutka, bo nie skończymy tej serwety, a dziś wieczór muszę ją zanieść do magazynu.

Jagusia zaczęła pilnie pracować. Od czasu do czasu zanuciła jakąś piosenkę, ale oczu od roboty nie odrywała. Nagle wi-
dać jakąś wesołą myśl błysnęła jej w główce, bo uśmiechnęła
się do siebie i jeszcze prędzej szyć zaczęła; igła tylko migą-
ła w jej ręku. Ciemno już było, kiedy Jagusia ostatni ścieg zrobiła.

— Skończyłam! Moja Kasiuniu, zobacz! — rzekła i bardzo
wesoła podskoczyła do siostry.

— Jagusiu, coś ty zrobiła? — zawołała przerażona Kasia.
Na serwecie był wyszyty zupełnie inny deseń: prześliczne
kwiaty, nad którymi unosiły się ptaszki o niebieskich skrzydeł-
kach.

— Moje biedactwo, to jest śliczne, ale od nas nie wezmą
tej serwety, bo nie jest wyhaftowana podług wzoru nam danego;
nie zapłacą nam, każą spruć i jutro zostaniemy bez obiadu.

— Przebacz, Kasiuniu — rzecze ze łzami prawie Jagusia. —
Możem źle zrobiła, ale tak mi się chciało wyhaftować to, co miałam
na myśli, że nie mogłam oprzeć się tej chęci. Nie, ja tego nie
spruję za nic w świecie! Wolę kilka dni nie jeść obiadu, ale ów
deseń musi zostać.

Nic nie powiedziała na to Kasia, tylko prędko zawinęła robotę
i zaniósła do sklepu. Przyszedłszy tam, nieśmiało rozwinęła ser-
wety i pokazała je właścicielce magazynu.

— Cóż to za deseń? — zapytała pani, wskazując na ro-
botę Jagusi.

Kasia struchlała.

— Przepraszam panią — wyjąkała — to przypadkiem mała
moja siostrzyczka nie tak zrobiła, jak trzeba, ale ja to spruję.

— Ależ to jest prześliczne! To ty masz siostrę taką artystkę?
Przyprowadźże mi ją zaraz, niech ją poznam. Dziś dostaniesz
dwa razy więcej pieniędzy za taką piękną robotę.

Uszczęśliwiona Kasia pobiegła do domu i wszystko opowiedziała siostrze.

Nazajutrz Jagusia poszła do magazynu, wyrysowała tam kilka deseni swego pomysłu, jeden piękniejszy od drugiego.

Właścicielka była zachwycona rysunkami dziewczynki.

Odtąd Jagusia już nie haftowała więcej, tylko rysowała coraz to inne wzory i była z tego bardzo zadowolona i szczęśliwa.





STRACH

Na końcu wioski stała chałupa.

Mieszkał w niej Marcin z żoną i dwojgiem dzieci: Kasia miała lat osiem, a Tadek rok dopiero. Rodzice do późna pracowali na polu, a Kasia pilnowała małego braciszka. Siedziała z nim na ganku, wozila w wózku, a potem wracała do chałupy, ugotowała kaszy, nakarmiła, mlekiem napoiła i do kolebki spać kładła.

Czasem Tadek prędko zaśnie, a nieraz to długo trzeba go kołysać.

Razu jednego Tadek niewiadomo dlaczego strasznie grymasił.

Kasia zaczęła śpiewać:

Jaskółeczka leci,
Niesie nam wiosenkę:
Dalej, dalej, dalej
Zanucę piosenkę,
Oj! da-da!

Ale Tadek leży w kołysce i wciąż mruczy.
— Śpij, Tadku, śpij mały: A-a-a kotki dwa...

Nareszcie chłopczyk oczki zamyka i zasypia.

Kasia zadowolona siadła z robotą na stołeczku i czeka na rodziców.

Wtem słyszy jakieś pukanie w ścianę.

— Co to być może? — myśli sobie. — Wyraźnie słyszę: puk, puk, puk... To strach, na pewno strach! Wiem, że strachy chodzą po ludziach, więc i do nas przyszedł.

I Kasia prędko wybiegła z chałupy. Na dworze już ciemno, a matka jakoś nie wraca. Biegnie przed siebie.

— Matulu, matulu! — woła.

A tu i rodzice nadchodzą.

— Matulu, w chałupie strach siedzi; tak kołacze, kołacze, jak młotkiem w ścianę.

Skrzyczała matka dziewczynę, że głupstwa wygaduje.

— Czemu dziecka nie pilnujesz, jeno o strachach myślisz! Tymczasem mały gotów z kołyski wypaść.

Weszli do chaty. A tu dziecko obudziło się i płacze. Musiała je matka wziąć na ręce i ukołysać.

— Matulu — powiada Kasia cicho do matki — to pewno strach nie pozwala spać małemu.

— Cicho mi tam! — odpowie matka — dziecko już zasypia. I położyła chłopca do kołyski.

Wkrótce zasiedli do kolacji. Kasia już przestała o strachu mówić, bo nie odzywał się teraz.

Ale zaledwie się w chacie uciszyło i wszyscy spać poszli, znowu rozpoczęło się kołatanie w ścianę.

— Matulu, czy słyszysz? Strach puka — powiada dziewczyna.

Tym razem rzeczywiście wszyscy pukanie słyszeli. Kasia przytuliła się do matki, głowę pierzyną nakryła i zasnęła.

KTO BYŁ OWYM STRACHEM?

Nazajutrz była niedziela. Chłopi zebrali się pod kościołem, baby przy garnkach i opowiadają sobie nowiny.

— Kołacze coś u nas w ścianę — powiada Marcinowa — aż mrowie mnie wczoraj przeszło, gdy słyszałam.

— Nietylko strach, powiadam wam, gorzej jeszcze będzie — odpowie kuma.

Zaczęły baby wtedy opowiadać, jak u jednej strachy chodziły, u drugiej kołatały, u trzeciej piszczały. Tak nastraszyły biedną Marcinową, że boi się do chałupy zajrzeć. Wkońcu zniecierpliwiona powiada:

— Co tam będę słuchała gadania waszego! Pójdę do pani z ochrony, to mi co poradzi.

I poszła. Sąsiadki tymczasem rozeszły się każda w swoją stronę.

Nadszedł wieczór. Marcinowa z mężem siedzą przy stole jacyś smutni i zaniepokojeni. Wtem pani z ochrony przychodzi.

Ucieszyli się wielce. Zaczęli rozmawiać, potem zgasili świecę, żeby stracha wywołać.

Puk, puk... rozległo się w ścianie.

— Ano strach jest — powiada pani śmiejąc się. — Zapalcie światło, Marcinowo, i oderwijcie tę deskę, za którą strach siedzi.

Marcin przeżegnał się i nieśmiało zabrał się do roboty.

Wtedy pani wzięła lampkę i zaczęła się pilnie przyglądać ścianie.

— Mam już, mam owego zbrodniarza-stracha! — I pokazała im malutkiego żuczka, zwanego kołatkiem.

— Moja paniusiu — pyta Marcin — a czymże on tak kołatał?

— Głową; uderzał nią o drzewo i toczył wam ścianę.

Roześmieli się wieśniacy, że mały owad tyle im strachu napędził. Kołatka wyrzucili.

A w chacie Marcinów zapanował od tego czasu zupełny spokój.





— K S I A Ż K A —

Znałam małą dziewczynkę, której było na imię Hanusia.

Dzień cały zajęta była czy to robótką, czy to zabawką, a gdy nastał wieczór, wtedy szła do babci.

— Moja babciuniu, moja słodka — mówiła, całując starszkę w rękę — proszę mi opowiedzieć bajeczkę, chociażby o tej dobrej dziewczynce, której niedźwiedź nie zjadł.

— Dobrze, mój ty pieśczocho, zaraz, niech zdejmę okulary i robotę sprzątnę.

Wtedy Hanusia przystawia stołeczek, opiera się o kolana babci i słucha.

A starszka mówi długo, długo, nim całej bajki nie skończy.

— Ładna bajka, — powiada dziewczynka — dziękuję babci.
A kto ją opowiedział babuni?

— Książka, moje dziecko — odrzeczcie starszka.

Uściskała Hanusia babcię i poszła do swego pokoju.

Nazajutrz mama Hani wraz z babcią pojechały w odwiedziny.

Dziewczynka została tylko z dziaduniem.

— Dziadziu — powiada Hania — pewno dziadziusiowi będzie się nudziło; może się piłką zabawimy?

— Nie, nie nudzi mi się wcale.

— Czemu?

— Bo książka opowiada mi różne historje — mówi staruszek.

— O, to książka musi być bardzo dobra: babci opowiada bajeczki, dziadkowi... A mamie opowiada?

— Opowiada i mamie i tatusiowi. Widziałaś nieraz pewno, jak mama trzymała książkę przed sobą.

— A książka chyba bardzo cicho mówi, bo ja wcale jej nie słyszałam.

— Prawda, że cicho mówi, bo tylko jeden człowiek słyszy.

Hanusia zamyśliła się. Potem wstała prędko i poszła do pokoju babci. Wzięła książkę, rozłożyła i patrzy.

— Książka jakoś nic nie mówi — powiada dziewczynka. — Włożę okulary babci, może wtedy co usłyszę.

Okulary ledwie się trzymają na nosie. A książka milczy. Dziewczynka przykłada ucho do kartek — cicho, nic nie słyhać.

— Dziadziu — woła dziewczynka zniecierpliwiona — książka nie chce ze mną rozmawiać, nie powiedziała jeszcze ani słoweczka.

— A, bo książki są grymaśne. Tylko wtedy mówić zaczną, jak się czytać nauczysz.

— Czy dzieci mogą się nauczyć?

— Mogą — odpowie dziadzio. — Chcesz, to spróbujemy.

— Dobrze, dziadulku, dobrze! — zawołała Hanusia, objęła rączkami staruszka i wycalowała.

— A wtedy wszystkie książki będą mówiły do mnie? — pyta dziewczynka.

— Wszystkie.

— Ale chyba nie razem, bobym ich nie rozumiała.

— O, gdzież tam! Książki zawsze mówią pokolei.

Miesiąc cały Hanusia uczyła się czytać z elementarza. Ale razu jednego dziaduś wyjął ze szafy małą książeczkę z obrazkami i podał wnuczce.

— Teraz weź książkę, może ci co powie.

— Ach, co za prześliczne obrazki! — zawołała Hania. — Co przedstawia, dziadziu, ten obrazek?

— Przeczytaj — dziadzio odpowie — to ci powie książeczka.

Dziewczynka zaczęła powolutku wyraz za wyrazem czytać i dowiedziała się wszystkiego.

— Dziadulu złoty, kochany, już mi książka opowiedziała bajkę! Powtórzę dziadusiowi!





PIERWSZA BAJKA,
KTÓRĄ KSIĄŻKA OPOWIEDZIAŁA HANUSI.

W pewnej wiosce mieszkał młynarz z żoną. Roboty miał mało, więc postanowił pójść w świat za zarobkiem.

Długo chodził po świecie, długo szukał jakiej bądź pracy i nadaremnie — nigdzie nic nie znalazł i wkońcu zmartwiony wraca do domu.

Niedaleko wsi swojej spoczął na kamieniu tuż przy jeziorze.

Wtem spostrzeża rusałkę, wychylającą się do niego z wody.

Przestraszył się młynarz i chciał uciekać, ale rusałka zatrzymała go słowami:

— Nie bój się, młynarzu, nie uciekaj! Szczęście twoje, żeś mnie dziś spotkał. Wiem, że jesteś smutny, że bieda ci dokucza, ale od dziś wszystko się zmieni, tylko musisz mi jedno przyrzec: oddasz mi to, co znajdziesz w domu, a czego się nie spodziewasz.

— Dobrze — powiada chłop — czego się tam mam spodziewać? Może jaki kociak na świat przyszedł, to ci go dam.

— Wracaj więc, człowieku, do domu, a szczęście pójdzie za tobą.

Idzie młynarz, zdaleka już młyn swój widzi, ale ten spokojnie stoi, roboty niema jak dawniej.

Zobaczyła go żona przez okno, wybiegła na spotkanie, powitała serdecznie i powiada:

— Wielka niespodzianka ciebie w domu czeka: synek nam się urodził.

— O laboga! — krzyknął młynarz — cóżem zrobił! Jeszczem dziecka nie widział, a już je rusałce zaprzedałem. O ja nie-szczęśliwy!

I opowiedział żonie o spotkaniu z rusałką.

Minęło lat kilka.

Dobrze się dzieje u młynarzów. Roboty teraz mnóstwo: nie zdążą jednego zemleć, a już drugi sąsiad ze zbożem przyjeżdża.

Młyn warczy, nie ustaje nawet w nocy.

Z ubogiego chłopca młynarz stał się zamożnym gospodarzem. Syn Stach chowa się zdrowo, wyrósł prędko na silnego, ładnego chłopca.

O rusałce powoli rodzice zapomnieli.

Dobrze im było teraz we troje na świecie.

Żyli i Boga chwalili.

Minęło lat kilka. Stach, syn młynarza, dorósł i został dziel-nym strzelcem.

Idzie razu pewnego przez las i rozgląda się, bo ładnie w nim było.

Wtem spostrzeża staruszkę, bardzo brzydka, zgarbioną i bar-dzo zajętą: zbierała prędko jabłka dzikie i gruszki do kosza.

Zatrzymał się chłopiec i patrzy. A staruszka usiłuje podnieść kosz na plecy.

— Nie poradzicie, matko — powiada strzelec — wszak to tęgi chłop miałby co dźwigać.

— No, to dopomóż — powiada stara — jeśliś taki dobry.

Chłopiec, nie myśląc długo, koszyk z owocami wziął na plecy i niesie.

— A daleko to wasza chata?

— Niedaleczko! Ot, tam na tej górze.

Zmęczył się okrutnie chłopiec, nim kosz odniósł, ale nie wyrzekał.

— Dziękuję ci, mój chłopcze. Pierwszego spotykam człowieka, który starej dopomógł. A teraz śpiesz się do domu, żeby cię noc w lesie nie zaskoczyła.

Chłopiec pożegnał się i poszedł.

Po takim zmęczeniu iść nie mógł długo, usiadł odpocząć na brzegu jeziora i zasnął.

Przysła noc. Dokoła zapanowała głęboka cisza.

Z po za chmur wypłynął księżyc jasny i spokojny i przyglądał się owej pięknej okolicy.

Coś plusnęło w wodzie. To rusałka wyjrzała z jeziora. Piękna jej srebrzysta szata unosiła się na falach, jej długie włosy mieniły się różnemi barwami.

Zobaczyła strzelca śpiącego.

— Stach, syn młynarza! Nareszcie go odnalazłam. Wszak ojciec mi oddawna przyrzekł go oddać. Zwabię go piosenką!

I zaczęła śpiewać, a głos jej był tak piękny, a tak dźwięczny i tak rzewny, że wszystko, co żyło, budziło się ze snu i w upojeniu słuchać musiało.

— Co to jest? — powiada Stach wstając. — Słyszę jakiś śpiew... Cóż za cudne dźwięki unoszą się tam, nad wodą... Co widzę? Boginka jakaś, czy co?...

Zbliża się do jeziora coraz bliżej, już nogę zanurzył w wodzie.

Zapieniło się naraz jezioro.

I rusalka pochwyciła strzelca i uniosła na dno jeziora.

Czeka młynarka na syna dzień jeden, drugi — nie wraca Stach. Zrozpaczona idzie go szukać.

Obchodzi pola, wsie, niema syna: idzie do lasu, woła, szuka, płacze — nie widać Stacha.

Aż tu nad wieczorem spotyka staruszkę, która owoce do kosza zbiera. A była to wróżka.

— Moiście drodzy, czy nie widzieliście mojego synaczka-jedynaczka? — pyta młynarka.

— Ojej, widziałam, widziałam. Dobry chłopiec, dopomógł mnie starej w robocie.

— A nie wiecie, gdzie się podział? Od kilku dni go nie widać.

— Czemużby stara wróżka wiedzieć nie miała? Wszystko wiem: rusalka go do wody wciągnęła.

— O, ja nieszczęśliwa — woła młynarka. — Tylem lat go pilnowała, żeby do wody się nie zbliżał, i nie ustrzegłam.

— Nie frasujcie się, kobiecino, dopomogę wam w nieszczęściu. Był on dla mnie dobry, to mu się odwdzięczę. Weźcie to ziarno, idźcie na brzeg jeziora, a gdy miesiączek wzejdzie, rzućcie ziarno do wody i uważajcie, co będzie.

Podziękowała kobieta wróżce, wzięła ziarno, siada na brzegu i czeka, nim księżyc nie wzejdzie.

Jakoż wkrótce wypłynął z poza chmur.

Młynarka prędko rzuca ziarno do wody i patrzy: woda zakolysała się, z pomiędzy fal ukazuje się strzelec.

— Stachu! — krzyknęła młynarka.

Za chwilę syn był już przy niej.

Odtąd już żadne nieszczęście ich nie nawiedziło.

Żyją wszyscy troje spokojni i szczęśliwi.





W owczarni było małe jagniątko. Miało na sobie mięciuchną wełnę białą fryzowaną.

Matka jego była też białą owcą, a ojciec baranem, który miał takie duże rogi, że mu się dwa razy zawijały.

Zaprzyjaźniło się jagniątko ze szczeniakiem z podwórka i razem dokazywały.

Pies udaje, że ugryźć chce owieczkę, ale zębów dużych jeszcze nie ma: jagnię znowu chce ubość szczeniaka, ale rogi mu jeszcze nie urosły, więc tylko łebkiem swoim uderza.

Szczeniak wchodzi na owieczkę, targa za uszy, za sierść, a jagnię staje na tylne łapy, łeb nadstawia i rzuca się zawzięcie.

Razu jednego wymyśliły sobie nową zabawę: gonitwę na podwórku.

Rozbiegały się tak, że nic przed sobą nie widziały.

A tu Marcinowa wracała z obory.

Szczeniak, goniąc owieczkę, z wielkiego rozpędu wpadł wprost pod nogi mlecarki. Marcinowa nie spostrzegła tego i upadła na ziemię.

Dostało się szczeniakowi za taką swawolę, piszczał nieborak, a owca patrzyła i nie rozumiała, co to się stało? za co towarzysza jej obito?

Mała była jeszcze i głupiutka.



LITOŚCIWA DZIEWCZYŃKA.

W dużej kamienicy mieszka Irenka. Ma swój pokój, zabawki, lalki — ale niebardzo lubi się nimi bawić.

Ulubionem jej zajęciem jest stać przy oknie i patrzeć na podwórko: tam rośnie duże drzewo, a na niem zwykle dużo prze-
siaduje wróble.

Czasem tak świergoczą, że nawet w pokoju słychać. Nie-
raz widziała Irenka, jak na podwórko wybiegała Józia, córka
stróża, a wtedy ptaszki zlatywały na ziemię i otaczały dziewczyn-
kę: czasem który na ramię jej siadał — to było bardzo zabawne.

— Jaka ta Józia szczęśliwa, że może się bawić z ptaszka-
mi, jak jej musi być wesoło — mówiła nieraz Irenka.

Ona też bywała na podwórku, ale żaden ptaszek do niej
nie zbliżył się, a nawet uciekał prędko na drzewo na jej widok.

Irenka postanowiła pójść do Józii i spytać, czemu ją ptaszki
tak lubią.

Poszła.

Zastaje Józję otoczoną ptaszkami.

Zbliża się Irenka, a wtem frrr! wróble prędko porozlatywały
się na wszystkie strony.

— Mój Boże! — powiada dziewczynka zmartwiona — już od-
frunęły, zawsze tak bywa. Powiedz, Józciu, dlaczego ode mnie
ptaki uciekają, a ciebie tak lubią?

— Żaraz ci powiem: kiedyśmy się tu sprowadzili, ucieszyłam się bardzo, widząc, że takie mnóstwo wróbli na podwórku, a gdy zaczęły głośno świergotać, pomyślałam sobie: pewno biedactwa są głodne. Przecież w zimie ani liszki, ani muchy nie znajdują, nikt im ani obiadu ani śniadania nie da, nikt ich ani przytuli, ani ogrzeje — są jak sierotki. Postanowiłam więc sobie, że po każdym jedzeniu pozbieram okruszyny ze stołu i wróbelkom zaniosę, a potem jeszcze ze swego kawałka chleba zawsze im połowę oddam.

Widać, że się im chleb podobał, bo w jednej chwili zjadały.

Parę razy na dzień karmię je — no i zaprzyjaźniłyśmy się, a teraz lubię je, jakby to były moje siostrzyczki.

Irenka spuściła głowę.

— Że też ja o tem nigdy nie pomyślałam — powiada. — Wszak u nas po jedzeniu także okruszki pozostają, ja dostaję chleb i bułki... Ale teraz pójdę za twoim przykładem.

I odtąd Irenka zbiera okruszyny ze stołu i codzień wróblom za okno wysypuje.

Ptaszki nie dały na siebie długo czekać, przylatują często do lufcika i dziobią chleb, a czasem nawet do okna pukają, gdy o nich zapomni.





ZAJĄCZKI

Pod lasem była kotlina, w niej siedziało kilka zajączków: ojciec, mama i pięcioro dzieci.

Gdy słońko z rana zaświeci — zajączki natychmiast się budzą, przecierają oczki łapkami i idą z matką na pole. Tam jedzą trawkę soczystą, ziółka, a potem uczą się skakać — ale nie mają jeszcze takiej wprawy jak rodzice: skaczą bardzo niezgrabnie i często przewracają się.

Stare zające siedzą tuż przy dzieciach i pilnują, żeby im kto jakiej krzywdy nie wyrządził.

A o nieprzyjaciela nie trudno, lis i sowa tylko czyhają na zajączki.

— Moje dzieci — powiada raz jednego matka — dziś musimy oddalić się na dłużej z domu: w ogrodzie kapusta dojrzała, posilimy się trochę i wam po smacznym listku przyniesiemy. Pamiętajcie tylko, żebyście nie oddalały się z domu w naszej nieobecności.

Zajączki przyrzekły.

Niedługo rodzice poszli, a dzieci zostały w kotlinie. Z początku figlowały ze sobą: za uszy targały jeden drugiego, koziółki fikały, ale znudziło im się to wkrótce i zaczęły wyglądać rodziców. Jakoś nie wracają!

— Wiecie co — powiada jeden zajaczek — chodźmy na łąkę, tam daleko przyjemniej, niż w tym ciasnym dole.

— Nie — odpowiada drugi — boję się bez matki!

— Ciekawym czego? Pobawimy się trochę i wrócimy, nim matka przyjdzie. Ale skoro ty nie chcesz, to siedź sobie. Kto ze mną pójdzie? — pyta zajaczek, stając na tylnych łapkach.

Nikt jednak z kotlinki nie wyszedł. I śmiałek sam wyskoczył. Zrobił sus jeden, potem drugi i do sąsiedniego krzaka podskoczył. Cieszy się zajaczek, aż uszami trzęsie, że miał taką dobrą myśl wyskoczenia z kotlinki.

A tymczasem za krzakiem zaczął się lis, dojrzał zajaczkę i cap! porwał go w jednej chwili.

Wrócili rodzice, patrzą: niema najstarszego synka.

— Co się stało? — pytają.

Dzieci opowiedziały wszystko, jak było, bo przez gałązki swego krzaka widziały.

Strasznie się zmartwili rodzice, długo nie mogli zajaczkę odzłować.

Od tego czasu mało oddalali się z domu i pilnowali dzieci, nim nie nauczyły się dobrze skakać i uciekać.



LIST JANKA DO KAZIA.

I.

Kochany Kaziu!

Żebyś wiedział, jaka mnie przyjemność spotkała, mój drogi! Pierwszy raz w życiu widziałem coś podobnego. Byłem na szopce, widziałem króla Heroda! Djabła z rogami...

Ale muszę ci wszystko opowiedzieć po porządku. Było to tak: w niedzielę tatuś woła nas do siebie i powiada: Dzieci, dziś po obiedzie zaraz was zaprowadzę do teatru marjonetek. Zobaczycie szopkę. Bo trzeba ci wiedzieć, że w Warszawie mamy teatrzyk, gdzie zamiast ludzi grają lalki.

W jednej chwili wdrapaliśmy się na kolana tatusia, zaczęliśmy ścisnąć, całować ojca, o mało nie powarjowaliśmy z radości.

Naturalnie, że wszyscy w domu natychmiast się dowiedzieli od nas o tej niespodziance, jaką nam tatuś obmyślił. A babcia musiała dwa razy o tem wysłuchać od Wacka i ode mnie.

Skwitowalibyśmy tej niedzieli z obiadu, byle iść prędzej, ale ojciec powiedział, że choćbyśmy nawet przyszli wcześniej, przed oznaczoną godziną przedstawienia nie rozpoczną: taki już mają zwyczaj. Nareszcie zbliża się godzina czwarta — wybieramy się i idziemy. Wchodzimy do sali: teatrzyk dosyć du-

ży, a przed nim siedzi mnóstwo dzieci na niskich ławeczkach i małych krzeselkach.

Wkrótce zadzwoniono raz i drugi i podniesiono kurtynę. A wtedy... Wybacz mi, mój drogi, muszę przerwać list, bo mi się bardzo ręka zmęczyła od pisania, wypocznę chwilkę i opiszę całą szopkę.

II.

Na czym stanąłem? Aha, jak się kurtyna podniosła! A więc, podniosła się kurtyna i ujrzeliśmy przed sobą pole, na niem pasące się owce i trzech pastuszków, śpiących na ziemi. Wtem na niebie ukazuje się jasność i słychać śpiew: to aniołowie zwiastowali narodzenie Chrystusa. Nie pamiętam całej kolędy, ale wiem, że było tam:

Wstańcie, pasterze,
Bóg się wam rodzi!
Czem prędzej się wybierajcie,
Do Betleem pośpieszajcie
Powitać Pana!

A jak ślicznie śpiewali, żebyś wiedział, aż mię coś w gardle ścisnąć zaczęło, aż mrowie po skórze przechodziło. Wiem na pewno, że to aniołowie śpiewali, bo potem dwa aniołki o jasnych włosach ukazały się w powietrzu. — Wacek, powiadam do brata, czy ty czujesz, jak to ładnie? — Czuję, odpowiedział brat. I znowu patrzyliśmy na scenę.

Pastuszkowie z początku się przelękli, gdy zobaczyli jasność, bo to była noc, potem się zdziwili, ale musieli uwierzyć, boć przecie aniołowie mówią zawsze prawdę. I poszli do Betleem. A tu tymczasem rozmaici ludzie przechodzili przez scenę: druciarz, kominiarz, krakowiak, krakowianka, trzech królów pięknie ubrani — wszyscy szli do Betleem.

Jednak widać niebardzo im się śpieszyło, każdy z nich zatrzymał się, porozmawiał, piosenkę zaśpiewał, a krakowiacy nawet tańczyli. Żałuję, że nie pamiętam wszystkich piosenek, bo były zabawne niektóre. A potem stało się coś nadzwyczajnego: kurtyna podniosła się, w głębi sceny ukazała się stajenka, w środku siedziała Matka Boska, taka śliczna w białą suknię ubrana, trzymała Pana Jezusa na ręku, przy nich św. Józef; wszyscy ci ludzie, którzy przechodzili przedtem: trzej królowie, krakowiacy, druciarz, widać, że już doszli. Jedni klęczeli, drudzy stali, a wszyscy razem śpiewali kolędę. Umiem ją nawet:

Lulajże, Jezuniu, moja perełko!
Lulajże, Jezuniu, me pieścidełko!
Lulajże, Jezuniu, lulajże, lulaj!
A ty go, Matulu, w płaczu utulaj!

Myślisz może, że na tem koniec? wcale nie! Kurtyna zapadła, ale niedługo znów się podniosła.

Tylko muszę znów odpocząć, gdyż długo pisać nie mogę. Dalszy ciąg napiszę ci w następnym liście.

A teraz ściskam cię z całego serca

Twój Janek.

III.

Mój drogi Kaziu!

Jakże żałuję, że nie jesteś z nami, że nie możesz widzieć szopki! Już kilka dni minęło, a ja ciągle myślę o przedstawieniu. Nawet z Wackiem powycinaliśmy lalki i zabawiamy się w szopkę.

Ale przecież nie opowiedziałem ci końca.

Otóż w drugim akcie ukazał się król Herod w swoim pałacu. Dowiedział się on też, że Chrystus na świat przyszedł, i bał się, że będzie większym królem od niego.

Jużci, że Pan Jezus przecie większy od wszystkich królów. Ale nie wiedział, gdzie mianowicie Pan Jezus na świat przyszedł. Kazał więc żołnierzom swoim odszukać Dzieciątko Jezus i zabić. To nikczemnik! Nie mogli Chrystusa tak prędko odnaleźć, więc zaczęto zabijać wszystkie małe dzieci, bo sądził Herod, że między niemi będzie Jezus. Nie udało mu się jednak!

Bo przyszła śmierć z kosą i ścięła Herodowi głowę. A taka była ta śmierć straszna! Koścista, zęby jej szczękały, gdy mówiła do Heroda. Herod prosił jej bardzo, żeby mu jeszcze życie darowała, ale ona się uwzięła, powiedziała: musisz umrzeć, bo jesteś okrutnikiem, i uśmierciła go.

Miała słuszność, boć przecie Herod mógł zabić Dzieciątko Jezus i cóżby wtedy było? Potem zjawił się djabeł, taki śmieszny! Z rogamii, kopytkami na nogach, wciąż śmiał się i skakał. Wziął Heroda na widły i wyciągnął za scenę.

Zjawili się dworscy ludzie, patrzą: a na tronie śmierć siedzi zamiast króla Heroda. Zdziwili się wielce, ale nikt nie żałował takiego pana, który nieszczęście w kraju mnoży. Wtedy kurtyna na dobre się zamknęła i wszyscy rozeszli się do domu. A myśmy z Wackiem po drodze o niczem innem nie mówili, tylko o przedstawieniu szopki.

Dobrze, że już skończyłem, bobym musiał znowu przerwać pisanie. Teraz tylko posyłam ci parę buziaków mocnych od Twego Janka.





BIĘGACZ

Nikt nie lubił w lesie owada, zwanego biegaczem. Każdy omijał go zdaleka.

Nie był on wcale brzydki: zwierzchu koloru miedzianego, pod spodem lśniaco-czarny, przytem bardzo zgrabny i zręczny. Ale zwyczajnie miał niegodziwe: napadał na różne stworzenia i żywcem je zjadał.

Jelonek, bliski krewny biegacza, nie przyznawał się nawet do znajomości. Grabarz wyrzekł się oddawna takiego siostrzeńca, a chrabąszcz, choć jest także kuzynem biegacza, zmykał przed nim jak przed wrogiem.

Biegacz jednak niewiele sobie z nich robił; udawał zawsze bardzo zajętego i wszędzie nosa wścibił: to ze ślimakiem się mociuje, dopóki go z muszli nie wydostanie, to znowu na drzewa wchodzi, liszki łapie...

Czasem urządzał sobie polowanie na owady, ale tylko w nocy się do nich zakradał. Najwięcej się dostawało chrabąszczom.

Razu jednego stała się wielka awantura.

Od rana padał deszcz i wszystkie owady pochowały się w kryjówki. Biegacz długo szperał po wszystkich zakątkach, aż nareszcie znalazł, czego chciał: pod grzybem zobaczył małego żuczka.

Przeląkł się biedak drapieżnika, chciał uciec, ale skrzydełka miał mokre i nie mógł ich wyprostować. Wypelzł na wierzch purchawki, biegacz za nim; żuczek pod kapelusz grzyba się schował, i biegacz na dół poszedł, nim jednak doszedł do końca, żuczek znowu był na górze.

Rozgniewało to drapieżnika. W dodatku kilka żuków siedziało pod liściem i przyglądało się tej gonitwie.

— Nauczę ja cię uciekać — pomyślał biegacz i ze złości tupnął nogą — Pif! rozległ się głośny wystrzał.

To purchawka pękła i zasypała próchnem biegacza.

— Dobrze ci tak, dobrze — śmiały się owady. — Dostał za swoje.

Długo biegacz wydobywał się z tych gruzów, aż nareszcie cały uwalany uciekł pośpiesznie w głąb lasu.



NA LETNIEM MIESZKANIU.

Waluś jest na wsi i wszystko mu się tu podoba: i pola i łąki i ciepłe słońko i gwiazdy w nocy. Cały dzień jest na dworze i doskonale się bawi.

Ale zabawy tu zupełnie są inne, niż w mieście. Wszystkie zabawki Waluś sam sobie sporządził: znalazł duży kij na podwórku i zaraz zrobił z niego konia, na nim przegalopował w dużą aleję, gdzie wierzba rośnie, i uciął sobie gałązkę na bat. Koło wozowni, w kącie zrobił stajnię dla swego konia.

Od dziadusia dostał chłopiec stary scyzoryk i to była jego kosa — ścinał trawę, potem ją na słońcu suszył, i to było siano dla konia; a zwoził je wozem drabiniastym, również własnej roboty.

Wynalazł pudełko drewniane, przywiązał do niego sznurek i ciągnie.

Razu jednego tak sobie Waluś obmyślił:

— Przeprowadzę się na letnie mieszkanie; tam pod lipą urządzę sobie domek.

Tak też i zrobił.

Zaczął sprzątać, ogródek założył, kwiaty zasadził, aż się zmęczył z wysiłku.

— Teraz muszę na targ pójść i kupić chleba.

Poszedł do kuchni i poprosił służącej o chleb. Anusia lubi chłopca, więc mu dała swój koszyczek i włożyła kawałek chleba z serem.

Podziękował Waluś i biegnie do ogrodu.

Przyszedłszy na miejsce, wyjął zapasy i poukładał na ziemi.

— To będzie moja śpiżarka, wezmę mały kawałek chleba z serem, a resztę zostawię.

Trzymając chleb w ręku, Waluś położył się na ziemi, ażeby wypocząć. Leżał tak chwilkę, rączka mu opadła na ziemię, potem główka, a potem zaczęły mu się oczki kleić i zamknęły się. Waluś zasnął.

A tymczasem niedaleko tego miejsca chodziła kura z kurczętami, zobaczyła na ziemi chleb i ser i zwołała dzieci. Zasmakowało im śniadanie Walusia, więc zjadły je prędko i jeszcze byłyby zjadły więcej. Wtem widzą, że chłopiec w ręku trzyma kawał chleba, pobiegły i zaczęły go dziobać, a jedno takie było śmiałe, że zbliżyło się aż do buzi Walusia i odrobinkę chleba sprzątnąć chciało, ale go tak mocno dziobnęło, że chłopiec się obudził.

Otwiera oczy — co to jest? Pomyślał trochę — patrzy, kura resztę ze śpiżarki wyjadła.

Zerwał się na równe nogi i zaczął krzyczeć na kury:

— Ach wy rabusie, rozbójniki, a kto wam pozwolił? — Do ciemnej komórki was wsadzę.

Czy kurczęta rozumiały Walusia — niewiadomo, ale prędko pouciekały wraz z kwoką.

A Waluś postanowił śpiżarkę urządzić wyżej niż dawniej, bo aż na gałęzi, żeby kury dosięgnąć nie mogły.





SZPAK

Anusia była córką gajowego; i latem i zimą mieszkała w dużym lesie.

Nie miała ani siostrzyczki, ani braciszka, ani przyjaciółki nawet, bo w pobliżu nikt nie mieszkał.

Więc też bardzo jej się nudziło. Miała coprawda lalkę, ale cóż znaczy lalka, kiedy nic nie rozumie, gdy do niej się mówi.

Razu jednego siedzi Anusia na ganku i smutnie rozgląda się dokoła; wtem patrzy, coś spadło z drzewa.

Biegnie czem prędzej i cóż widzi? Małe pisklątko wyleciało z gniazda.

— Biedactwo pewno się potłukło! — woła Anusia. Ogląda ptaszka na wszystkie strony i dostrzega, że ma jedną nóżkę złamaną.

— O, maleństwo drogiel jakże musisz cierpieć! Wyleczę cię, czekaj! Będę twoim doktorem.

I dziewczynka prędko poszła do pokoju, umoczyła gałganek w zimnej wodzie i obwiązała nóżkę ptaszкови.

Był to młody szpak. Pisklę leżało spokojnie na ręku dziewczynki. Anusia ułożyła je w pudełku na wacie. Potem wzięła

na rękę rozgotowanej kaszy i przytknęła ptaszкови do dziobka. Ale ptaszek jeszcze sam jeść nie umiał. Wtedy dziewczynka zaczęła z ust go karmić i to się widocznie podobało ptaszynie, bo chciwie zjadała kaszę.

Po dwóch tygodniach ptaszka trudno było poznać. Zupełnie się wyleczył, urósł, nauczył się fruwać, był zwinny i wesoło się bawił ze swoją opiekunką. Dziewczynka była uszczęśliwioną z takiej żywej zabawki, nie chciała jednak więzić szpaka w domu i zaniósła go do lasu.

Szpak, zobaczywszy drzewo i niebo, gwizdnął raz, drugi, uniósł się w górę i znikł.

— Bywaj zdrów, ptaszku! — zawołała Anusia, śledząc go oczyma.

Minęło kilka dni. Anusia znowu siedziała na ganku i tym razem plotła wianuszek.

— Fiu-fiu!... — coś gwizdnęło.

Patrzy, szpak, jej wychowanek siedzi na gałęzce.

— Szpasiu, szpasiu! — zawołała Anusia, wyciągając rękę.

Ptaszek spojrział na nią i sfrunął na rękę, z ręki na ramię, z ramienia na głowę i jak dawniej zaczął figlować.

Nazajutrz powtórzyło się to samo.

Odtąd szpak codziennie przylatywał do dziewczynki, czasem nawet dwa razy dziennie.

Anusia zawsze uprzejmie go wita, czasem nawet częstuje go serem i kaszą.

Teraz dziewczynka nie jest zupełnie sama, ma już towarzysza zabawy i nie nudzi jej się wcale.



DRUGA BAJKA,^{*)} KTÓRĄ HANUSIA PRZECZYTAŁA.

W kącie małego podwórka siedziała kwoka z kurczętami. Zobaczyła ją mała dziewczynka, Anusia, przybiegła i zaczęła skakać koło kwoki.

Stara kura poczęła gdakać przeraźliwie i rozpostarła skrzydła ponad swemi pisklętami.

Wtem ojciec dziewczynki wszedł na podwórko.

— Anusiu — powiada — dlaczego krzywdzisz biedną kurę? Czy nie widzisz, że ona drży ze strachu o swe dzieci, a małe piszczą i płaczą, nie wiedząc, co począć ze sobą. Widzisz, jak rozbiegły się na wszystkie strony.

Dziewczynka spojrzała na kurę, która teraz chowała wszystkie swe dzieci pod skrzydła, i przykro jej się zrobiło. Spuściła główkę, podała ojcu rękę i poszli do domu.

Przyszedł wieczór.

Wszyscy zasiedli do wieczerzy, a Anusi nie widać. Czeka ją — nie przychodzi.

Tymczasem dziewczynka zakradła się cichutko do kurnika na palcach, odsunęła zasuwkę i wśliznęła się do śpiącej kwoki i kurczątek.

^{*)} Z Andersena.

Kura zerwała się na równe nogi, zaczęła gdakać przeraźliwie, a małe piszczały i trzepotały ze strachu. Anusia biegała za nimi po kurniku.

Nie mogąc się doczekać córki, ojciec poszedł na podwórko. Słyszony hałas w kurniku.

Zbliża się i spostrzega Anusię.

— Co ty tu robisz, niedobra dziewczynko, znowu niepokoisz kure?

Rozgniewał się ojciec i wziął Anusię do domu.

Anusia skłoniła główkę i dwie łzy zaświeciły w jej niebieskich oczkach.

— Weszłam do kurnika — odezwała się łkając — aby kwokę pocałować i przeprosić za krzywdę, którą jej wyrządziłam.

— Ty głuptasku — rzekł ojciec, uśmiechając się. Pocałował córeczkę i już się nie gniewał.



134



WIERNY SŁVGA

I.

Na facjatce w małym pokoiku mieszkał staruszek. Miał za towarzysza i służącego psa pudła, który bardzo się przywiązał do swego pana.

Rano zaledwie staruszek się budził, wołał:

— Wiernuś!

I pies zrywał się na równe nogi i zaczynał szukać kosza, potem brał go pyskiem za pałeczek i biegł do piekarni. Kupcowa znała psa od lat kilku, więc uprzejmie go witała:

— Wiernuś! jak się masz, stary?

A pies w odpowiedzi kręcił ogonem, jakby mówił:

— Dziękuję, dobrze mi się spało, tylko teraz okrutnie głodny jestem.

Piekarzowa kładła w koszyk pięć kajzerek, a jedną czerstwą bułkę dawała Wiernusiowi do pyska.

Pies byłby ze dwadzieścia takich bułek zjadł, ale nie wypadało naprzykrzać się piekarzowej, więc językiem tylko pysk oblizal, na podziękowanie ogonem machnął i zanosił bułki swemu panu.

W południe znowu staruszek kładł palto na siebie i wołał:

— Wiernuś, na spacer!

A Wiernuś tylko na to czekał, biegał teraz po kątach, wyszukiwał czapkę swemu panu, przynosił potem kalosze, parasol i pędził po schodach, szczerząc się z radości.

— Niech wszyscy mieszkańcy wiedzą — myśli pies — że na spacer wychodzimy. Hau, hau, hau! — wołał Wiernuś.

Różnemi ulicami chodził staruszek, ale przy końcu zawsze wracał na ulicę Piwną, gdzie wchodził do restauracji na obiad.

Staruszek siadał za stołem, nakrytym białą serwetą, a Wiernuś, jak przystoi na dobrze wychowanego psa, kładł się przy wejściu i czekał cierpliwie, choć z głodu byłby zjadł wołu. A gdy tylko posłyszał głos gospodyni: Wiernuś! zrywał się i biegł do kuchni.

Tam w kącie stoi dla niego miska z rosołem.

Chlipie Wiernuś, aż mu się uszy trzęsą, zjadł wszystko i miskę wylizał do czysta.

Potem razem ze swym panem wracali do domu.

To samo powtarzało się dzień po dniu.

II.

Razu jednego posłyszano przeraźliwe szczekanie psa Wiernusia. Stał pode drzwiami sąsiedniemi, szczerzył się i dobijał się łapami. A gdy służąca wyszła, pies ciągnął ją za spódnicę, to znowu biegł przed nią na schody.

Poschodzili się sąsiedzi, patrzą na psa i myślą, czy się czasem nie wściekł, nieborak.

Jedna z kobiet poszła na górę, zapytać lokatora staruszka, co ma z psem zrobić.

Otwiera drzwi, patrzy, staruszek leży na ziemi zemdlony. Domyśliła się wtedy, czego pies chciał od niej.

Posłała więc czem prędzej po pogotowie ratunkowe, a sama wraz z innymi sąsiadkami zaczęła cucić staruszkę.

Niedługo chory odzyskał przytomność.

A tymczasem lekarz przyszedł i oświadczył, że gdyby nie pomoc psa, staruszek umarłby, bo pośpiech był konieczny.

Okazało się, że piec nie był szczelnie zamknięty, i biedak zaczął zjadać.

Odtąd cała kamienica poznała bliżej Wiernusia i pies stał się ulubieńcem wszystkich lokatorów.

Teraz jeden przed drugim zapraszali psa na resztki obiadu. A że Wiernus miał apetyt zawsze dobry, więc nie gardził żadnym datkiem i czasem po pięć obiadów na dzień zjadał.



NIEMOWA.

Ośmioletnia Jagusia jest córką stróża. Biedactwo jest od urodzenia głuchonieme.

W domu ją dobrze rozumieją, bo umie doskonale rękami i oczami wszystko wytłumaczyć. A gdy patrzyła na mówiącego, to zawsze domyśliła się, czego chcą od niej.

Dobra z niej była dziewczynka, chwili jednej nie próżnowała: to dziecko nosi, to podwórko zamiecie, to pokój sprzątnie — pracowała jakby dorosła osoba. A zawsze wesoła, zwinna i usłużna.

Na podwórku nieraz zbierały się dzieci i urządzały zabawę, najczęściej goniły się, wtedy Jagusia wybiegała z mieszkania i przyglądała się zdaleka. Raz nawet chciała biegać razem z nimi, ale nie umiała powiedzieć tego.

— E...e...u...u...! — odzywała się tylko do dzieci.

Chłopiec spojrzał na niemowę i powiada do siostry:

— Słyszysz, jak ona mówi? Niewiadomo, czego chce od nas; niemowa, poco tu się przyplątała?

Jagusia nie słyszała, co mówiły dzieci, ale zrozumiała, że nie chcą bawić się z nią, więc smutna odeszła.

Razu jednego dziewczynka poszła po naftę do sklepu i napotyka chłopców, wracających ze szkoły.

Jeden z nich pchnął Jagusię. — Posłuchajcie, — powiada do kolegów, — jak ona będzie mówiła! — i znowu daje jej szturchańca.

— U...u...u...! — wołała dziewczynka, broniąc się.

Zaraz drugi chłopiec zabiegł jej drogę i zaczął przedrzeźniać.

— Porozmawiamy ze sobą, panienczko! E...e...u...u... — wołał trzeci.

Jagusia domyśliła się, że chłopcy z niej szydzą. Zarumieniła się biedaczka, lzy jej stanęły w oczach, chciała uciec, ale niedobrzy chłopcy zastępowali jej drogę i targali to za fartuszek, to za chustkę.

Stanęła więc przy ścianie i płakała.

Wtem jak z procy wypadł pies, zaczął szczekać na chłopców, jednego nawet za palto chwycił, drugiego mało w nogę nie ugryzł. Uczniowie przestraszeni porozchodzili się w różne strony. A pies stanął przy Jagusi i patrzył na nią łagodnie. Gdy dziewczynka poszła do domu, odprowadził ją do samej bramy. Jagusia pogłaskała psa, a tak mu była wdzięczna, że go nawet w łeb pocałowała. Pies został jakiś czas na podwórku, dopiero później odszedł.

Nazajutrz gdy Jagusia wymiatała śmieci, spostrzegła wczorajszego swego obrońcę: pies kręci ogonem, niby się wita, a Jagusia nie posiada się z radości, chce mu się wywdzięczyć, pobiegła do pokoju i wyniosła kość z kawałkiem tłuszczu.

Zjadł pies prędko, językiem się oblizuje i z wdzięcznością na dziewczynkę patrzy.

Potem Jagusia poszła po sprawunki i pies jej towarzyszył, a gdy weszła do sklepiku — czekał na nią przy drzwiach.

Odtąd pies stał się nieodłącznym towarzyszem Jagusi.

Po kilka razy na dzień przybiegał i czekał na nią na podwórku.

Teraz dziewczynka już jest śmielsza, nikt jej nie śmie dokuczać, bo ma obrońcę.

A gdy czasem wyjdzie Jagusia na podwórko i usiądzie na stołeczku, to pies zaczyna figlować z dziewczynką, to ją ciągnie za sukienkę, to się schowa, to znów wyskakuje z ukrycia. I doskonale się rozumieją.

Nieraz potem dziewczynka spotykała tych samych chłopców, którzy kiedyś dokuczyli jej, i radaby im powiedzieć, że pies miał lepsze serce dla niemowy, niż oni.

Zdaje się jednak, że chłopcy to sami spostrzegli, bo już dziewczynki więcej nie zaczepiali.





JASKÓŁKA

Pod balkonem kamienicy wisi małe gniazdko, a w niem siedzi młoda jaskółka; skrzydełka ma słabe i boi się wyjść z gniazdka. Siostrzyczki jej już dawno fruwały, hen! hen! wysoko.

O, gdyby ona za niemi mogła polecieć!

— No, i cóż mała — rzecze ojciec do jaskółki — jeszcze nie możesz opuścić gniazdka? Musisz raz spróbować. Stań na brzegu gniazdka, a teraz poruszaj skrzydłami.

— O, boję się, boję!... nie, za wysoko, za wysoko na mnie! — odrzekło pisklę, czepiając się gniazdka.

— Jak tak dalej pójdzie, moja droga, nie będziesz z nami mogła puścić się w podróż przed zimą do ciepłych krajów.

Minęło dni kilka, a jaskółka nie wiele postąpiła: umiała tylko z gniazdka wyfrunąć na balkon, z balkonu sfrunąć na dach i znowu powrócić do gniazdka.

— Słuchaj, córuchno — rzecze razu jednego matka do jaskółki — jesień nadchodzi, wkrótce odlecimy w dalekie kraje. Boję się o ciebie, czy ty przetrzymasz podróż? Wczoraj ulice wszystkie obleciałam i zaledwem komara złapałam, czas wielki wyruszać w drogę.

Ptaszek nic na to nie odpowiedział, tylko smutnie łebek zwiesił.

Wnet zaczęły się jaskółki zbierać na dachach, wieżach, słupach telegraficznych i pewnego poranku gromadnie odleciały.

Mała jaskółka została w gniazdku sama jedna. Niebawem porwała ją taka tęsknota, że pofrunęła, sama nie wiedząc dokąd.

— Dokąd tak pędzisz? — pytają ptaki.

— Tam, dokąd inne dążą — odpowiedziała, ciężko poruszając skrzydłami.

I poleciała za jaskółkami, które odlatywały później.

— Zginiesz, morze szerokie — powiada jeden z młodszych ptaków.

Ale mała jaskółka już go nie słuchała, pofrunęła w drogę.

Leci dzień jeden, drugi, wypocznie chwilkę i znowu leci.

Aż nareszcie dostała się do morza.

Strach ją przejął. Dokoła widzi tylko wodę i wodę. Skrzydła jej drętwieją. Byłaby chętnie wypoczęła, ale woda dokoła była tak ciemna, zimna, że ją przerażało. Znow wznosi się z trudnością do góry i leci przez chwilę. Jeszcze jeden wysięk, i czuje, że więcej sił nie ma. Zwija skrzydełka i spada...

Na szczęście przez te miejsca przepływa statek i jaskółka spadła wprost na głowę jednego z żeglarzy. Dobry człowiek ulitował się nad biednym ptaszkiem, obejrzał małą jaskółkę i włożył do pudełka, przykrył watą i pielęgnował troskliwie, dostarczając pożywienia, bo ptaszek był bardzo słaby.

Po tygodniu statek przybył do lądu, a z nim i młoda jaskółka, która do tego czasu już zupełnie wyzdrowiała.

Z wesołym szczebiotem wzbiła się do góry i wdał poleciała.

Po kilku dniach szczęśliwie spotkała się z rodzicami i rodzeństwem.





I.

Był to koniec maja. Słońce już dobrze dopiekać zaczęło, kurz na ulicach zanieczyszcza powietrze.

Państwo Miłkowscy wybierali się na wieś i od wczoraj pakowali rzeczy.

Irenka też za przykładem wszystkich układa w kuferku garderobę swoich wychowanek, a niemało ma roboty, bo lalek ma trzynaście. Wtem wchodzi mama, a widząc porozkładane rzeczy, powiada:

— To ten cały bagaż ma jechać z nami? Niepodobna, moje dziecko, miejsca nie będę miała. Zabierzesz najwyżej trzy lalki.

Bardzo się zmartwiła Irenka.

Wyciąowała, wypieściła lalki i tak im tłumaczy:

— Moje drogie laleczki, muszę wam powiedzieć, że w tym roku zabieram tylko najmłodsze córki, bo są słabe, wieś im koniecznie potrzebna, wzmocni je. Wy zostaniecie w domu i opiekujcie się jedne drugimi.

— Irenko — powiada braciszek Zdziś, wchodząc do pokoju — wiesz, że mam zostawić w domu i konia mego na biegunach i lokomotywę?

— Wiem, mój drogi — odpowie smutnie siostra. — Wyobrażam sobie, jak bardzo będziemy się nudzili!

Wrócił chłopiec do swych zabawek, stanął przy koniu zaczął go głaskać i pocieszać różnemi słowy.

— Smutno ci będzie beze mnie, Siwku, wiem, ale cóż począć, kiedy mi nie wolno ciebie zabrać. Zato gdy urosnę, to przyrzekam ci zawsze być z tobą, już wtedy nigdy się nie rozstaniemy. Przykro ci jest?

Pytał chłopiec, patrząc na swego rumaka. I zdawało mu się, że koń ma smutne oczy i głowę spuścił niżej niż zwykle.

— No, nie martw się, przyjacielu, lato prędko minie, znów będziemy razem. Chodź teraz do stajni!

I chłopiec zaprowadził konia do kąta, przykrył go papierem, żeby go muchy nie gryzły, pożegnał się ze swym ulubieńcem, poklepał go po szyi i odszedł uspokojony.

— Jedziemy już, dzieci! — zawołał ojciec. — Proszę się zabierać!

Pojechali.

II.

Tydzień upłynął od czasu, jak dzieci są na wsi, ale im się wydał jedną chwilą.

Ile zabawy, ile uciechy mają — trudno policzyć.

Tu pole, tu ogród, tu łąka... a wszędzie coś nowego, wszędzie jest coś ciekawego do widzenia.

— Irenko, gdzieś ty była cały ranek, żem cię nie widział? Chciałem ci coś pokazać.

— Gdzie nie byłam? spytaj. Obleciałam łąkę całą, uzbierałam mnóstwo kwiatów, ułożyłam wiązanekę i w pokoju ustawiłam. Zobacz, jak ładnie. A ty coś robił?

— Właśnie chciałem ci pokazać. Mam cały pułk żołnierzy, chodź ze mną.

I Zdziś zaprowadził siostrę do altanki.

— Prawda... jacy żołnierze! Cha! cha! cha! Z czegoś ich zrobił?

— Z szyszek łopianu! Wiesz, że są lepiące i łatwo dają się połączyć po kilka razem, pozlepiałem je i widzisz, jakich mam dzielnych wojaków. A teraz, wiesz Irenko, mam wyborną myśl. Zrobmy ogród, dobrze? Wykopiemy kilka paproci z lasu i zasadzimy u siebie, to będą nasze drzewa; potem przyniesiemy dużo kwiatów.

— Doskonale, braciszku, zaraz pobiegnę po szpadelki!

Wszystko to dzieci natychmiast wykonały.

Po dwóch dniach był już ogród z klombami, ścieżkami, zwirem wysypanemi, alejami, a nawet ze stawem dosyć dużym.

Dzieci przyglądają się, cieszą i coraz coś nowego dodają.

Dowiedziały się o ogródku żaby i żabki i po deszczu mnóstwo ich przyszło do nowego stawu.

Ptaszki z drzewa też spostrzegły, że dzieci często śniadanie w swoim ogródku jadają, a odrobinki chleba zostają na ziemi, więc zaczęły odwiedzać ogródek. Zdziś i Irenka byli uszczęśliwieni.

— Żyjemy jakby w raju, mamy rośliny swoje, ptaki, zwierzęta — powiada chłopiec.

— Szczęście, że węża niema — mówi Irenka.

— Prawdę mówisz. Ale wąż mógłby przyjść, otoczmy nasz ogródek parkanem, żeby nie miał pokusy.

I znowu zaczęły dzieci zwozić i znosić różne materiały do roboty.

— Zdzisiu, czy żałujesz, żeś konia swego nie zabrał? — pyta Irenka.

— Wcale nie, bo bym się nim pewno nie bawił.

— Wiesz, że i ja lalkom dałam swobodę. Niech sobie co chcą robią, nawet nie zaglądam do nich.

Oby to lato jak najdłużej trwało!



NOWY TOWARZYSZ.

Władzio ma nowego towarzysza — kota zwanego Filusiem. Dawniej kot siedział tylko w kuchni i spał na łóżku służącej.

Ale razu jednego Władek zbliżył się do niego i zaczął głaszać. Kot mruczał z zadowolenia, a potem poszedł za nim do pokoju i tam został.

Wkrótce tak się przyzwyczał do chłopca, że nie odstępował go prawie.

Gdy znalazł na ziemi piłeczkę, popychał ją łapką i gonił. Władzio to widział i śmiał się z zabawy kota.

— To ty i figlować umiesz, mały? Dobrze, chodźmy się huścić, bo nie wiesz może, że zrobiłem sobie huśtawkę z deski. Pokażę ci zaraz. No, chodź! Kici-kici! — woła chłopiec.

Filus nie kazał sobie prosić i pobiegł zaraz za chłopczykiem.

— Siadaj na jednym końcu, a ja na drugim, ot, tak!

Chłopiec posadził kota na brzegu deski i zaczęli się bujać.

— A-a-! — śpiewał Władek. — Kotki dwa,

Szare, bure obydwu,

Jeden szary, drugi bury

I obydwu smyk do dziury!

Ale owo „smyk“ tak głośno krzyknął, że kot zląkł się, zerwał i uciekł. A chłopiec stracił równowagę i spadł na ziemię.

— E, głupiego mam towarzysza — powiada Władek, podnosząc się z ziemi. — Nie zna się wcale na zabawie!



WYCIĘCZKA KURCZĘCIA

Nie chcę być z wami — powiada kurczę, robaki są tu twarde, woda brudna, a na słońcu upiec się można.

— Dokądże pójdziesz? — pyta brat kurczęcia.

— Daleko w świat pójde, za pola, za lasy, hen! hen! Już mnie więcej nie ujrzycie.

— A nie boisz się?

— O jej! nikogo się nie boję! Bywajcie mi zdrowi, pójde sobie!

I poszło.

Podwórko swoje znało kurczę doskonale; wiedziało, gdzie są dołki pod parkanem, więc przykucnęło i przeszło do ogrodu sąsiedniego, a z ogrodu na inne podwórze.

A wtem wypada szczeniak młody i zaczyna głośno szczekać.

Przerażone kurczątko chce uciekać. Zobaczywszy to pies, gonić je zaczyna. Ptak biegnie przed siebie, już mu tchu braknie, ledwo oddycha — nic nie widzi, co się dokoła niego dzieje, byle uciec przed złym szczeniakiem.

Nagle poślizgnęła się noga kurczątku i bęc! wpada do rowu.

Z początku w głowie mu się zamąciło, nie wiedziało, co się z niem stało? ale po chwili oprzytomniało. Usiłuje wydostać się i nie może: skrzydła ma za słabe, a nogi coraz głębiej w błoto grzęzną.

Nadmiar złego tuż nad niem stoi pies i wciąż ujada.

Zrozpaczone kurczę zaczęło przeraźliwie krzyczeć:

— Pi! pi! pi! ratujcie mnie, ratujcie!

Na szczęście jakaś kobieta szła tamtędy po wodę, usłyszała pisk i wydostała z rowu ptaka.

Domyśliła się zaraz, że to kurczę z drugiego podwórka, i zanosła je sąsiadce.

Kurczątko nieprędko odzyskało przytomność, ale odtąd odechciało mu się dalekiej podróży.



SPIS RZECZY.

	Str.
Na jesieni.	5
Koncert.	7
Zniczek.	9
Kasztany.	11
Dlaczego świerk zginął.	13
Historja żołnierza.	15
Sprzeczką.	17
Na dnie rzeki.	19
Piłka.	21
Przygoda Maciusia.	23
Nierozważny chłopiec.	25
W pogoni za pajakiem.	27
Słuszna kara.	29
W stawie.	31
Niezwykły upominek.	33
Na drzewie.	36
Kłopoty Stefka.	38
Jaką zabawkę zrobił Stefek.	40
Urodziny motylka.	42
Wicher.	44
Maik i chrabąszcz.	47
O małym chłopczyku.	49
Kukułka.	51

W nocy.	54
Rodzina świstaków.	56
W domu.	58
Na przechadzce.	60
Zepsuty orzech.	62
Mała artystka.	65
Strach.	68
Kto był owym strachem?	70
Książka.	72
Rusalka. Pierwsza bajka, którą książka opowiedziała Hanusi.	75
Jagnię.	80
Litościwa dziewczynka.	82
Zajączki.	84
List Janka do Kazia.	86
Biegacz.	90
Na letnim mieszkaniu.	92
Szpak.	94
Druga bajka, którą Hanusia przeczytała.	96
Wierny sługa.	98
Niemowa.	101
Jaskółka.	104
Na wsi.	106
Nowy towarzysz.	110
Wycieczka kurczęcia.	111

50

8

✓

A 50-

6437/20

(95)





O
L
J
30
ZI
W
L
B
B.

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001025814260

6 599 04124

1.981.303 Cim.

